

OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

C I A G D A L S Z Y.

II.

T ł o k a.



Olchowcu była swoja muzyka. Omelko Szwec grał na skrzypce, Łuc Prybłuda na rzeszocie, a Fed' Duryło na ulu. Oni trzej składali orkiestrę, która pomimo że prób i ćwiczeń nie odbywała, wywiązywała się z zadania, jeżeli nie doskonale, to ku powszechnemu zadowoleniu. Omelko Szwec był to człowiek małego wzrostu i kulawy, pełnił rzemiosło szewskie i miał chatynę na skraju wsi, około której nie było ani ogrodu ani obejścia. On orał i siał szydłem, i nie można powiedzieć, żeby roboty nie miał — ciągle coś dłubał: to kopyta strugał, to dratwę kręcił, to łątał, nawet niekiedy zdarzało się mu podszycie, ale grosza nie składał. Jego chata była obdrapana, jego baba chodziła boso i w drantywej koszuli, on sam nie miał porządnej odzieży, a to dla tego, że co zarobił, to przepił. Miał szczególny do wódki pociąg, któremu się oprzeć nie był w stanie. Nikt się temu nie dziwił. Któż bowiem widział kiedy szewca nie-pijaka?... Wszyscy go poważali, a to dla tego, że zatykał sobą dziurę, która bez niego byłaby nie do zatknięcia. Gdyby nie on, z rzemiosłem szewca łączący rzemiosło skrzypka, Bóg wie, jakby się w Olchowcu obchodziły wesela, prężniki, dożynki, tłoki, co by parobcy i dziewczęta robili w niedzielę i święta przed karczmą. Każdy wprawdzie parobek grał na supilce; lecz supilka jest in-

strumentem tylko w ostateczności mogącym służyć do tańca. Było paru takich, co umieli grać na drymbie; lecz cichy głos drymby ginie przy tropakach — a przytem jakaż dziewczka, szanująca siebie, zgodziłaby się tańczyć przy tym instrumencie, co cygańskim dzieciom do popisów służy. Z tego powodu Omelko był ważną w gromadzie figurą — ważną i zasłużoną, bo nie tylko sam na skrzypce grał, ale dobrał do siebie towarzyszy i sformował orkiestrę. Łuc, zwany Prybłudą dla tego, że nie wiedzieć z kąd się w Olchowcu wziął i nie miał w gromadzie ani brata ani swata, ani stałego przytuliska, ani wyraźnej roboty — żydom wodę nosił i wynajmował się dziś temu jutro owe-mu — został przez niego wykierowany na muzykanta na rzeszocie, które Omelko sam surową skórą obciągnął. Fedia, przezwanego Duryłem dla tego, że nie myślał nigdy o czém innem tylko o zbytkach, które się głowy jego trzymały, pomimo że był gospodarzem żonatym i miał dzieci, nauczył grać na ulu i sam ul przysposobił. Słowem, sformował orkiestrę, która nic do życzenia nie pozostawiała; jak się kiedy na jednym końcu wsi odezwała, to na drugim końcu dziewczkom wszystkie żyłki w ciele drgały, a jeżeli która siedziała, to ją coś podnosiło, jakby w pieńku pod nią były sprężyny. Ul huczał grubym głosem, niemal ryczał jak buhaj, kiedy łeb pochylił i ziemię przed sobą racicami grzebie; rzeszoto bębniło i niekiedy furczało, gdy

Łuć po niém palec wielki w półkole puszczał; skrzypka szczebiotała, śpiewała, zacięła, piszczała, lała z siebie tony, jak leje się woda w łotokach, a szczebiotanie jej i śpiewanie miało w sobie coś porywającego, zwłaszcza, że się wydobywało z pośrodku huczenia i bębnienia. Gromada olchowiecka była dumna swoją muzyką.

— Trzysta mu mać!...—powiadali gospodarze o Omelku — niby to on do niczego, a oś!... patrzcie!... jak wymyślił! Przy nim i Łuć przydał się na coś i Duryłowi dał robotę.

Żaden obchód w Olchowcu nie obszedł się bez Omelka i jego towarzyszy. Pan Dymitr Kociuba zamówił go na cały czas żniw.

— Pamiętaj ty sobie, ażebyś mi co wieczora przyszedł ze skrzypką.

— Ta ja przyjdę — odrzekł, kłaniając się — bylebym miał za co kalafonii kupić...

Dostał piątaka na kalafonię, i codziennie przed słońca zachodem wraz z Łuciem i Fediem zjawiał się na podwórzu w ekonomii.

I tego wieczora, w którym się powieść nasza rozpoczyna, Omelko czekał na przyzbie przed domem, w którym mieszkał dzierzawca z rodziną. Rzędem z nim siedzieli jego pomocnicy. Obok Omelka leżała skrzypka ze smyczkiem pod struny włożonym; Łuć trzymał rzeszoto pod pachą, a Fed' ul między nogami. Przed nimi w półkole stało siedmioro obojej płci dzieci, przypatrujących się ciekawie wirtuozom i instrumentom. Najstarsze z tych dzieci mogło zaczynać lat dwanaście, najmłodsze kończyć trzy. Byli to dzierzawczyce i dzierzawczanki, ubrane trochę z waszecia, ale w samodziałki; dziewczęta w spódniczki i czyste koszulki, chłopcy w dryliszkowe spodeńki, ale nie wszyscy. Dwaj najmłodsi nie posiadali tej niezbędnej części ubrania męskiego, a żadne z dzieci nie posiadało na nogach ani bucików ani trzewiczków. Buciki i trzewiczki w ich dziecinnych wyobrażeniach grały rolę złotych snów. Z tego powodu Omelko był dla nich podwójnie szacowną istotą: raz jako wirtuoz, powtórę, jako ten, który jest w stanie kiedyś złote ich sny w rzeczywistość zamienić. Więc stały przed nim w półkole, pyzate, zamurdzane, białowłose, ogorzałe, a każde w innej pozycji: jedno założyło nogę na nogę, drugie włożyło palec w usta, trzecie otworzyło gębę, czwarte wystawiło język; jeden chłopiec z kijem między nogami i batożkiem w ręku, inny z kawałkiem obręcza w kabłak wygiętym i przysposobionym w taki sposób, ażeby zrobić z niego łuk; jedna z dziewczynek tuliła do piersi zwiniętą z gałganów kukiełkę, w której można było domyślać się lalki; najmłodsze stało z rozkraczonymi nóżkami, rozłożonymi rączkami, otworzonym szeroko pysiem i podniesioną z tyłu a za pasek z krajki wetkniętą koszulką. Stały w oczekiwaniu tej cudnej muzyki, która się miała za chwilę odezwać, i niecierpliwiły się.

— Omelko... a no zagraj — odzywało się to jedno, to drugie.

Omelko wezwania te zbywał milczeniem.

To jedno to drugie próbowało dotknąć się skrzypki palcem.

— Nie ruszaj, to ugryzie... — była groźba, którą szewc trzymał działwę w oddaleniu od instrumentu, który z pewnością wyszedłby jak najgorzej, gdyby się do rąk chłopców dostał.

Dom, przed którym orkiestra siedziała, był obszerny. Zbudowany na sposób staroświecki, miał wysoki słomą posyty dach i jeden ale szeroki komin. Nad kominem wznosiło się drewniane przykrycie, konieczne dla ochronienia ogniska od wiatru i deszczów. Na grzbiecie dachu bociany założyły gniazdo. Ostrzeszek nasunął się nad ściany, i otaczał je cieniem dokoła. Okna, których siedm frontowa posiadała ściana, były małe, czteroszybowe. Pod ostrzeszkiem, dokoła, wisiały żerdki do suszenia tytoniu, ziół a w potrzebie i bielizny. Wewnętrzny rozkład domu był bardzo prosty. Środek zajmowała obszerna sień bez sufitu. Na miejscu sufitu wznosił się w lejkowaty kształt zabudowany komin, do którego zchodziły się kominy wszystkich pieców i grub, i pod którym znajdował się murowany z cegły z rusztami piec, pełniący funkcję kuchni. Z tej sieni wchodziło się na lewo do czeladnej izby, na prawo do pokojów, i wchodziło się po drabinach na poddasze. Z tej sieni kominy od pieców i grub zatykały się zatułami ze słomy, wytwarzającami kahlanki, posiadające własność odganiania czarów i uroków. Po stronie izby czeladnej była jeszcze duża, doskonale we wszystko zaopatrzona spiżarnia. Izb mieszkalnych było cztery; z tych jedna obrócona na apteczkę. Słowem dom, mający jedno tylko wejście, zawierał w sobie wszystko: i kuchnię i piekarnię i spiżarnię i apteczkę i pokoje mieszkalne. Reszta zaś, co do gospodarstwa należy, rozłożonem było na podwórzu, które mieściło w sobie spichrze, stajnie, szopy, chlewy, kurniki, studnię z żorawiem i lipę z ławeczką. Otaczał je wysoki z darniowym ostrzeszkiem płot, i wewnątrz, pomimo zabudowań, obszaru było dość do pomieszczenia całej olchowieckiej gromady.

Dla olchowieckiej to gromady dzierzawczyni, kobieta w sile wieku, przygotowywała przyjęcie. Pod jej okiem i przewodem kilka dziewczek krzątało się po podwórzu, wynosząc z domu grube obrusy i rozścielając je na murawie, zajmującej tę połowę podwórza, na której rosła lipa. Głos podstarościny co chwila się odzywał:

— Żywo!... a nie baw-no się!... Czegoś tam stanęła z założonymi rękami!... Kłepo ty jakaś!... Widzisz-no ją!...

Dziewki się zwijały, jak muchy w ukropie. Rozścielały obrusy i zformowały z nich rzucone na zielonej murawie dwa jeden obok drugiego długie a wąskie, białe równoległoboki, i ustawiały na nich środkiem miski i bo-

chenki razowego chleba, krajami drewniane łyżki, a w odstępach gliniane dzbany i kufle.

Podczas krzątania się dziewczek i podstarościny, we wrotach ukazało się dwóch jeźdźców, z których jeden jechał przodem, a drugi w oddaleniu kilka kroków z tyłu. Ten co jechał przodem, było mężczyzna lat około czterdziestu, ubrany w samodziałowy szarego koloru kubrak wełnianym opasany pasem, w duże buty, w których wywrócone cholewy wchodziły spodnie, i w słomiany kapelusz. Wzrostu był średniego, ale barczysty i silnie zbudowany. Długi, sumiasty wąs nadawał jego twarzy wyraz surowości, którą jeszcze mocniej uwydatniały duże namarszczone brwi, jak dwa ostrzeszki wiszące nad szafirowymi oczyma. Ten, co za nim jechał, był służebnym pacholkiem. Koń pod pierwszym gniady i w miarę wypasiony, miał w sobie turecką krew; koń pod drugim, siwy i nieco chudszy, należał do rodzaju tych, co to na paszy nie przebierają a trudy znoszą z łatwością.

Dziwny skutek wyniknął z ukazania się jeźdźca we wrotach. Działwa pierzchła i znikła, Omelko i jego towarzysze wstali i głowy poodkrywali, dziewczki poczęły się zwijać jeszcze prędzej, i nagle w różnych kątach podwórza objawił się ruch pracy, którego przed chwilą nie było widać; na drewnutni dało się słyszeć rąbanie drzewa, za domem jakieś piłowanie, ze stajni wyszedł parobek niosąc gnój na łopacie, z za parobka wysunął się wyrostek, który ruszył ku studni i wziął się do napełniania wodą koryta, pod szopą ukazała się para ludzi z widłami zajętych przy jasłach. Jeździec przecie na nic ani spojrział. Od wrót skierował konia prosto do drzwi domu, przed progiem się zatrzymał, zsiadł i oddał cugle pacholcowi, który zeskoczywszy z siodła, pospieszył do odebrania takowych, i umieściwszy się we środku pomiędzy końmi, począł je w kółko powoli oprowadzać. Jeździec przestąpił próg, znikł wewnątrz domu i po chwili ukazał się znowu ale bez kapelusza, bez kubraka i z dużym na ramieniu ręcznikiem. Snadź wiedziano, co to znaczy, bo jedna z dziewczek wyniosła natychmiast sporą drewnianą konewkę, z którą pędem udała się do studni, i wręczyła ją wyrostkowi ciągnącemu wodę. Ten ją napełnił. Jeździec tymczasem wyszedł na lewo podwórza, zatrzymał się obok słupa do suszenia hładuszczyków, na jednym z kołków ręcznik powiesił, rękawy od koszuli wyżej łokci zatoczył, kołnierz na karku odchylił, rozkraczył się i pochylił naprzód ciałem. Stało się to właśnie w chwili, kiedy dziewczka z wodą nadbiegła.

— Tylko nie żałuj... — były pierwsze wyrazy przez jeźdźca wymówione.

Dziewka konewkę do góry podniosła i łać poczęła wodę na kark i głowę jeźdźcy — a ten prychał jak koń i rękami twarz sobie szurował, zabiegając dłońmi od czasu do czasu na kark i na głowę.

Prychał i szurował się.

Tu można umieścić uwagę, odnoszącą się do karku i rąk jeźdźcy. Pierwszy należał do rodzaju tych, o których przysłowie powiada „choć obody gnij“, drugie były żyłaste i włosom porośłe.

Póki woda się lała, póty jegomość się mył, a gdy wody nie stało, dziewczka z konewką odeszła, a on się wyprostował, dmuchnął, aż z wąsów bryzgi poszły, zdjął z kołka ręcznik i na głowę go sobie zarzuciwszy, począł obcierać twarz, szyję, piersi, ręce, a skończywszy obcieranie, ręce spuścił, wzrok wzniosł do nieba i odetchnął. Odetchnął pełno, szeroko. Mężka jego twarz i oczy wyrażały wewnętrzne zadowolenie, więcej nawet niż zadowolenie, bo rokosz. Roskoszną bowiem była nadwieczorna chwila dnia po kilkugodzinnym upale. W takiej chwili człowiek sam sobie staje się miłszym, zwłaszcza, jeżeli napiększy się na słońcu, zleje się zimną wodą.

Jeszcze raz odetchnął, grubo odchrząknął i powoli odszedł do domu; lecz po chwili znów wyszedł, ale już przeistoczony, w świeżej koszuli, której biały kołnierz dobrze odbijał od ciemnych włosów i czerwonego karku, w otrzepanym z kurzawy kubraku, bez kapelusza. Wyszedł, odstąpił kilka kroków od proga, wziął się w boki i obejrzał dokoła. Przez chwilę nasycił się urokiem wiejskiego wieczora. Stał i słuchał. W powietrzu rozlegał się szmer, zlewający się w harmonijny chór, na który składały się wcale — zdaje się — nie harmonijne głosy: skrzeczących żab, klekocących bocianów, szumiącej na łotokach wody, porykującej trzody, beczących owiec, szczekających psów, pokwikującej nierogaczyny, hukających pogoniczów, brzęczących komarów, gęgających gęsi, kwakających kaczek, nawołujących drób gospodyń, i bijących w dali przepiórek. Zdaje się, że te głosy przydatnymi tylko być mogą do kocięj muzyki, że są to wrzaski niesforne, mogące jedynie budzić wstętność. I zapewne mogą one budzić wstętność, lecz w mieszkańcu wielkiego miasta, przyzwyczajonym do sztucznie układanych melodyi. Do mieszkańca jednakże wsi te niesforne wrzaski przemawiają głosem natury, z którym on się zrósł, i który jest dla niego zrozumialszy i miłszy nad wszelkie symfonie i koncerty. Dla niego skrzeczenie, szum, beczenie, syczenie, klekot, nawoływania układają się we wspólny koncert, w uroczysty hymn, do którego się przyłącza i z którym sercem wznosi się do Boga.

W ten koncert, w ten hymn wsłuchał się pan Dymitr Kociuba i zmienił się na chwilę w posąg, wyrażający zapomnienie zachwyty. Lecz zapomnienie niedługo trwało. Pan Kociuba był gospodarzem; więc głośno odchrząknął i powtórnie się obejrzał. A snadź oko jego było wprawne, bo natychmiast dostrzegł uchybień, które należało skarcić lub sprostować. Więc huknął najprzód na wyrostka, co wodę ciągnął:

— Gdzie ty masz oczy?... ty!... hej!... że wylewasz po za koryto! Nie proś Boga, żebym cię uczył, jak masz wodę

nalewać, ażeby bagna na podwórzu nie robić!... Czy chcesz mi tu żaby zaprowadzić!... czyś się w żabach zakochał!... czy może myślisz, że ci żaba cycki da!...

Potem zwrócił się do tego, co drwa rąbał:

— A nuże-no!... z przyciskiem!... Spluń w dłoń, jeżeli się toporzysko nie trzyma, i heknij sobie, a nie wywijaj na próżno siekierą!

Następnie skierował mowę do tego, co gnój wyrzucał:

— Czego się tam guzdrasz, jakbyś trzy dni chleba w oczy nie widział!...

Dalej na dziewczki krzyknął i żonie, którą „imością“ tytułował, jakąś przymówkę uczynił, i poszedł w obchód po obejściu, ażeby z bliska przypatrzeć się wszystkiemu, co z daleka okiem obrzucił. Udał się kolejno do stajni, pod szopy, do chlewów, na oborę, na tok, był wszędzie, widział wszystko, tu zganił, tam poprawił, ówdzie dał jakiś rozkaz i zakończył obchód przy studni, do której ze stajni wyprowadzono konie po parze.

Może czytelnik ciekawy wiedzieć, ile koni i jakie miał olchowiecki dzierzawca. Ażeby tę ciekawość zaspokoić, wiedzieć należy, iż w czasach owych ani oficjalistom, ani tem mniej dzierzawcom nie wyznaczano ilości krów, nierogacizny, owiec, koni, jaką mogli trzymać. Trzymał, ile odhodować zdołał. Odpasał, a chów bydła stanowił wynagrodzenie pracy i główny dochód, bo z produktów rolnych, z powodu braku komunikacji i trudności transportu, miał bardzo mało. Gdyby więc nie przychówek, nie opłacałoby się pracować około roli. Przychówek stanowił rzeczywiste wynagrodzenie pracy, które było tem większem, im dłużej dzierzawca na jednym zostawał miejscu.

Pan Kociuba na dzierzawie olchowieckiej pozostawał lat piętnaście; więc się dochował sporo krów i jałownika i chlewni i koni. Trzyletnie byczki w każdym roku sprzedawał, i w każdym roku sprzedawał po dwa, trzy niekiedy cztery konie, składając pieniądze w bitych talarach na wiano dla córek i wyprawę w świat dla synów. W chwili, w której się powieść nasza rozpoczyna, miał na stajni koni sześć, których przegląd czynił z niemałym wewnętrznym zadowoleniem. Pacholcy wyprowadzali je po dwa. W pierwszej parze wystąpiły gniady i kasztan, czterolatki, mogące iść choćby pod hetmana, sierść na nich była jak aksamit, żyły grały, ogony odstawały, piersi szerokie, główki kształtne, uszy i pęciny czyste, oczy pełne. W drugiej parze wyszły dwa skarogniade, garbonose z długimi grzywami i bujnemi ogonami, sierści prawie kosmatej, oczu wpadłych, czystej krwi bachmaty, co to wyciągnąwszy szyję równolegle do ziemi, niosą jeźdźca choćby na kraj świata. W trzeciej parze jeden był gniady, drugi srokaty, niepokazne, lecz pan Kociuba dobrze o ich nogach trzymał, tak dalece dobrze, że powiedział:

— Jeżelibym, mospaneńku, syna w świat wyprawiał, to bym go wyprawiał na srokatym, albo na gniadym... Bo koń,

co nie utyka, to wielka rzecz... Na takim koniu to i człowiek nie utknie...

Z uczuciem gospodarskim przypatrywał się koniom, jak wodę piły. Pierwsze dwa zanurzyły nozdrza głęboko, i zaspokoivszy pragnienie, poczęły się rozglądać, strzygąc uszami. Gniady zarżał.

— Odprowadź je — rzekł do pachółka.

Pachółek rozkaz wykonał; lecz zaledwie kilka kroków zrobił, kasztan w bok uskoczył, wierzgnął, ogon zadarł i szarpnął się. Naśladując towarzysza, to samo natychmiast zrobił i gniady.

— Trzymaj! — krzyknął pan Kociuba.

Pachółek postronki od uźdz około rąk obmotał i całemi do nich przyczepił się siłami. Była chwila, w której brykające konie rozkrzyżowały go w powietrzu, lecz wyrwać się mu z rąk nie zdołały. Poskakały więc trochę, powierzyły i poszły spokojnie do stajni.

Po koniach do wodopaju przyszły krowy, po krowach cielęta i jałownik. Pan Kociuba nie odstąpił, póki cały dobytek jego pod jego okiem nie został napojony. Własnymi oczami musiał widzieć każdą sztukę, po sposobie bowiem, w jaki bydło i konie zaspokajały pragnienie, sądził o stanie ich zdrowia.

Zdrowie musiało być w dobrym stanie, bo pan Kociuba był kontent. Gładził wasy i czuprynę pocierał, a stojąc przy studni, rzucił okiem na rozesłane na trawnikach obrusy, na których wszystko znajdowało się już na swoim miejscu. W tej chwili Omelko pierwsze pociągnięcie smyczka po strunach wykonał, i natychmiast potem Łuc' wzniósł rzeszoto do góry i palcem w skórę uderzył, a Fed' usiadłszy, wziął ul między nogi i począł go, jak się włościanie wyrażali, „doić“. Połała się melodja muzyki i zmieszała się z gwarem przybywających z pola żeńców. Na podwórzu rozległo się wołanie:

— Żeńci idut'!

Scena się zmieniła. Podwórze napełnili włościanie i rozdzielili się. Gospodarze otoczyli podstarościego, baby i młodyce skupiły się około drzwi domu, parobcy stanęli na boku, a dziewczki skupiły się pod lipą.

Granie muzyki miało znaczenie witania przybywających gości. Było to preludium, które trwało tak długo, póki pan Kociuba, idąc powoli w gronie gospodarzy od studni, nie zajął za jednym ze stołów poczęstnego miejsca i nie rzekł, ręką pokazując:

— Prosimy, panowie gromada... na chleb, na sól i na różne inne dodatki, które nam baba moja zgotowała...

Gospodarze jeden po drugim zasiedli.

Pan Kociuba kiwnął na parobków:

— A nu, chłopcy... do miski!...

Parobcy niby się pomiędzy sobą naradzili i rezolutnie ruszyli i drugą połowę stołu zajęli. Ciasno im trochę było, ale jakoś się przecie pomieścili.

— Hej, baby! — zawołał pan Kociuba — ta niechże na was ludzie nie czekają.

Kobięty się ociągały. Pierwszego wezwania jakby nie słyszały, tak nagle zagadały się o kurczętach, które już od kwoczek poodchodziły, tak mocno zajęły się wiadomością, jakiej im Ulana Hordijowa udzieliła, że u niej kura kwokać zaczęła.

— Łycho moje!... — krzyknęły wszystkie w jeden głos — w żniwa?

— Nie wiedzieć, co się jej stało — opowiadała Hordijowa — dziś rano wołam „ciur!“, wszystkie idą, ona nie idzie... Ja do niej... słucham... a ona kwoka...

— Ihi na nią! — odezwała się kowalicha, która za najrozumiejszą pomiędzy babami uchodziła.

— Kwoka taj hodi...

— Ta chodźcież panie matki! — zawołał pan Kociuba powtórnie.

— Hołowko ty moja! — rzekło kilka bab razem, nie zważając na wołanie dzierzawcy, a wszystkie podparły dłońmi brody i poczęły głowami kiwać.

Kiwały głowami i gadały. Jedna mówiła, żeby tę nieszczęsną kwoczkę w pomyjach skapać, druga radziła, żeby ją pokrzywą sparzyć, trzecia utrzymywała, że potrzeba jej czerwonym kornikiem nogę obwiązać, czwarta twierdziła, że należy ją podskubać, a jedna była tego zdania, że na to innej rady nie ma, tylko odszeptać.

— Co się babom stało? — zapytał dzierzawca najbliższego siedzącego Sydora Brodawkę.

Gospodarze się uśmiechnęli, a Brodawka odpowiedział:

— Ot... zwyczajnie... pytlują...

Inny zaś dodał:

— Z babami to tak: byle zeszło się dwie, a broń Boże trzy, to już i jarmark.

Lecz tu w istocie rzeczy nie o gadanie chodziło, ani o niewczesną kwoczkę, ale o coś ważniejszego. Wiadomo jest całemu światu, że potrzeba wygadania się leży w naturze kobiecej, i że od tej potrzeby nie są wolnymi ani wieśniaczki, ani panie wielkiego świata. Lecz w tym razie nie jej zaspokojenie było powodem, że się nie spieszyły do jedzenia. Powód był — że tak powiem — poważniejszy niż wrodzona potrzeba. Tkwił on w przyzwoitości. Baby były zaproszone, jakżeż mogły one, na pierwsze wezwanie, bez prynuki, spieszyć do miski?... To się nie godziło... hej!... Rozumiał to pan Kociuba, rozumieli i gospodarze, tylko udawali, że nie rozumieją. Zapraszanie kobiet należało do gospodyni domu, a ta się jeszcze nie uporała. Aż dopiero, gdy ona wyszła, gdy za nią wynieśli baniaki z kapuśniakiem, gdy powitawszy kobiety, przemówiła do nich i przeprosiła je z góry, że kapuśniak ze słoniną jej się nie udał i zapewne smakować nie będzie, baby dalejże najprzód pocieszać ją a następnie hurmem ruszyły.

— E taki on gdzieś nie taki nie dobry, jak mówicie.

— Nie taki on jak być powinien, ale ja się spodziewam, że mi wybaczycie.

— Pachnie niczego — zauważała jedna z gospodyń.

Że pachł, to pachł — wonią trzechletniej słoniny.

— Prosimy — wzywała pani Kociubina.

— Na ten niedobry kapuśniak — podchwyciła tonem żartu jedna z bab — Ej, bodaj was lubko... ja do śmierci nie chciałabym lepszego.

— Prosimy, panie matki...

Kobięty porządkiem, jedna obok drugiej, zajmowały miejsca przy drugim stole, a ściszały się, bo jeszcze trzeba było zostawić miejsca dla dziewczynek.

Z temi ostatnimi — o tóż dopiero był kłopot! Ani sposób było do stołu je zwabić. Nadaremnie dzierzawca hukał; nadaremnie dzierzawczyni wołała; nadaremnie baby zachęcały. Jakby im pięty do ziemi przyrosły. Jakby jakieś uroki pod lipą je zaczarowały. Zkupiły się, niby owce, i głowy pochowały.

— Diwczata! — brzmiało od obydwóch stołów.

— Jakie to durne! — powtarzali ludzie.

Parobcy z nich żartowali.

Nic nie pomagało.

— Pójdź-no który, ta poproś — rzekł pan Kociuba do parobków.

Trzech parobków naraz powstało, podeszli i przemawiali:

— Nie bądźcież takie durne... ot... ludzie się z was śmieją.

Napróżno. One się jeszcze mocniej ścisnęły i po ciachu chychotały, obracając się do przemawiających tyłami.

Pan Kociuba mrugnął na Duryła. Duryło podniósł się i chyłkiem zbliżył się do psa, co zamiatając ogonem, leżał nie opodal i czatował na resztki wieczery, pogłaskał go i wziął na ręce niby dziecko. Pies to był łaskawy, z rodzaju kudłatych kundysów, przytem Duryła znał, więc dał się mu wiaść. Ludzie ujrzawszy to, odrazu się domyślili, że będzie jakiś zbytek; więc zaparli w sobie dech. Duryło tyszkiem szyszkciem zaszedł za dziewczki, nagle się wyprostował i psa pomiędzy nie w sam środek kupy rzucił.

— Uch! — wrzasnęły wszystkie jednym głosem i rozskoczyły się, jakby pomiędzy nie bomba padła.

Gospodarze, parobcy i baby buchnęli wielkim śmiechem.

Śmiał się pan Kociuba i za boki się trzymał. Śmiała się pani Kociubina, aż jej łzy z oczu płynęły.

Duryło powrócił na swoje miejsce i usiadł, jakby nic nie było.

— Ot wymyślił!... Trzysta mu mać!... — powtarzali gospodarze, obcierając oczy. — A człowiek żonaty! Parobków jest tyle, a żadnemu taki zbytek do głowy nie przyszedł. No no... już to, co Duryło, to Duryło...

Dziewczęta się rozskoczyły i rozbiegły kupkami w różne strony: trzy pod kurnik, pięć pod szope, dwie do studni, a reszta po pod płoty w burzany.

— A nuże chłopcy—rzekł pan Kociuba do parobków—ruszcie się ta przyprowadźcie!

Zawstydzeni parobcy, że żadnemu z nich nie przyszło do głowy to co Duryle, zerwali się wszyscy razem i ruszyli po dziewczki. Tu już ceremonje ustąpiły miejsca przemocy. Rzucili się jak sępy na zdobycz. Każdy pochwycił jedną, a jaki taki dwie, ale nie każdemu poszła sprawa gładko. Niektóre dziewczki opierały się wprawdzie, lecz ciągnięte za ręce i szyje lub szczypane pod boki albo i gdzie indziej, szły; ale kilka znalazło się takich, że nie pomogło ani ciągnięcie ani szczypanie. Jak się oparły, to ani rusz. Czepiało się po dwóch do jednej i rady dać nie mogło. Ludzie się z nich śmieli.

— O to mi parobek! Ihi na tebe!

Więc z rozpaczą szarpali i kułakami pod boki z całej siły zajeżdżali. Cóż z tego? Uderzy kułakiem, to ona się wywinie, a uszczypnie, to mu się tylko palce po wierzchu ciała poślizną.

Takich znalazło się trzy: jedna w kacie podwórza w burzanach, druga koło chlewka, a trzecia aż pod stajnią. Ta ostatnia jednakże dała się uprosić Hawryłowi Brodawczynemu.

— Frasyno — przemówił, widząc że nie pomaga — jeżeli mnie kochasz, nie rób mi wstydu... hej!... co ludzie powiedzą?...

Frasyna odwróciła się od niego twarzą, i niby to opierając się, niby to przemocy ulegając, poszła za Hawryłem.

Do dwóch zaś innych znów potrzeba było Duryła.

— Pójdź no i pomóż panom mołojcom — przemówił do niego pan Kociuba.

Duryło poszedł na pomoc... z wiadrem wody w ręku i dziewczki pędem udały się za stół i usiadły.

— No, Bogu dzięki — rzekł pan Kociuba. — W ręce wasze... Oby nam pan Bóg pozwolił szczęśliwie żniwa pokonać...

Nalał kieliszek gorzałki i wypił do Brodawki, znów nalał i podał. Brodawka przemówił, wypił i podał dalej. Kieliszek poszedł w koło. Pan Kociuba się przeżegnał i nastało powszechne milczenie, wśród którego kapuśniak szybko zniknął z misek, dopełnianych w miarę, jak wypróżnianymi bywały. Po kapuśniaku przyszły bałabuszki z czostkiem. Pani Kociubina obchodziła do koła stołów i zachęcała:

— Panowie gospodarze... panie matki, nie dajcież się prosić...

A wciąż ganiła:

— Że nie dobre, to nie dobre, aż mi wstyd przed wami, ale wybaczenie... Na drugi raz, jak Pan Bóg da doczekać, będzie lepiej... Na ten raz, wybaczenie... a jedzcie...

— Ta gdyby to było nie dobre, lubko — odpowiadały kobiety—toby my nie jedli, a to i jemy i oblizujemy się...

— Na zdrowie wasze... na zdrowie... Jecie, boście na mnie łaskawi.

— Ono bo nie tylko smaczne, ale pachnie, tak pachnie.. a!

Amatorowie zapachów możeby innej byli opinii we względzie woni, wydzielającej się ze starej słoniny i czostku, lecz na powonienie chłopskie działało ono zachwycająco. Jedli, oblizywali się, wachali, rozkoszowali i w przeciągu niedłuzej jak dwudziestu minut zmietli wszystko— zostały tylko próżne misy i okruchy. Biesiadnicy rękawami usta obtarli. Pan Kociuba wstał; za nim wstali gospodarze, za gospodarzami parobcy, za parobkami baby i mołodyce a na ostatku dziewczęta. Dziewčki służebne lotem sprzątały miski i łyżki, obrusy wytrzęsły z okruch, na które rzuciły się psy podworcowe. Pan Kociuba usiadł na przyzbie i zaprosił gospodarzy, pomiędzy których puścił w kolej czarę. W tej chwili odezwała się skrzypka, a skrzypce zawtórowały rzeszoto i ul. Parobcy wystąpili naprzód i sformowali koło — i chodząc, obracać się a potupywać poczęli, jak te pawie albo indyki. Dziewczęta znów gęstą kupą zbiły się pod lipą.

Rozpoczęły się tańce.

Z koła występowali parobcy, udawali się pod lipę, i jeden po drugim brał jedną po drugiej dziewczynę, wykręcał nią i puszczał przed siebie. Dziewczyna od razu, to w tył to naprzód szła drybuszczki, a parobek wycinał tropaki, hopaki i prysiudy. Aż ziemia zadudniła. Ani poznać, że ci ludzie przez dzień cały żyli na skwarze słonecznym.

Młodzież hulała, a gospodarze pod domem na przyzbie rozmową się bawili.

Rozmowa toczyła się o zbiorach i o polityce. Tak—o polityce, która w czasach owych miała bezpośredni z rolnictwem związek.

— Aby ino Bóg dał pogody, ażebyśmy mogli szczęśliwie zżąć, zwieść i w sterty złożyć—odezwał się pan Kociuba.

— Ta żeby nas pan Bóg od pohańców uchronił—dodał jeden z gospodarzy.

— Od pohańców albo od Moskali — poprawił pan Kociuba. — Wnęćli się psiawiary i trudno ich wyprosić.

— Ono to tak — odparł Brodawka — ich biały car, zdaje się, przysłał...

— Ta niechby już ich sobie zabrał... Oni u nas niepotrzebni...

— Niepotrzebni?... — rzekł jeden z gospodarzy i na języku miał to, co młody lirnik wypiewał, lecz nie umiał tego co do słowa powtórzyć. Żydzi, Lachy, ludzie za błahoczyńne męcenie, klucze od cerkwi zaarendowane, złote carskie trony, święty Mikołaj, wojska niezliczone i skarby nieprzebrane męciły mu się w głowie, i nie wiedział od czego zacząć. Więc odrzekł:

— Ludzie coś tam gadają... to może i wygadają...
— Co? — zapytał dzierzawca.
— Bóg ich wie... coś gadają...
— Niby to coś idzie od carskiej strony—rzekł Brodawka.
— Idzie tyle — odparł pan Kociuba — że carskie wojska w Polsce stoją i z wyjściem się ociągają.
— Ta może tego jeszcze i więcej przyjdzie.
— E! — zawołał pan Kociuba. — Toć my ich, mospa-
neńku, będziemy pędzili, jak nieprzymierzając z cudzego ogrodu świnię.

Gospodarze milczeli, głowami kiwali i powtarzali:

— Ludzie gadają...

Pan Kociuba zapalił się i uniósł.

— Król, słyszę, trzyma ich przy sobie... To my i ich, i króla, het wypędzimy! Na licha nam cudze wojska! Czy to nam i swoje dość nie dokuczają!

Te ostatnie wyrazy, zdaje się, trafiły do przekonania wieśniaków, bo jeden po drugim odpowiedzieli:

— Ono to tak...

Niestety! wojskowa konsystencja była jednym z największych i najdokuczliwszych ciężarów, spadających na rolnika; była bowiem ciężarem ogólnym, dotyczącym najbardziej osady, leżące na szlakach wojennych. Było to prześladowanie gorsze, aniżeli religijne, które się działo w sposób wyjątkowy. Dotykało ono jednych mniej, drugich więcej, lecz wszystkich, i dla tego olchowieccy wieśniacy przyznali słuszność słowom dzierzawcy, odnoszącym się do rzeczy znanej im daleko lepiej, aniżeli podania zawarte w pieśni młodego lirnika, opowiadające o nadużyciach, strasznych wprawdzie, lecz bezimiennych, o nadużyciach, o których im opowiadano, ale których oni własnymi oczami nie widzieli.

— Ale ludzie przecie coś gadają... — podchwycił jeden z gospodarzy. — Powiadają, że Moskal zbiera się w wielkiej sile...

Pan Kociuba ręką machnął i zwrócił uwagę na psy, które nagle do wrót poskoczyły i ujadać poczęły.

— Hej! wszak to Oleksę nam pan Bóg prowadzi...

I huknął:

— A zasie!... Siry! Bosy! Kusy!...

Mocno gwizdnął. Psy odstąpiły i stary lirnik powoli podeszedł do dzierzawcy, któremu się w pas pokłonił.

— Pomahaj Bih, panie Kociubo i panowie gromada...

— Daj Boże zdorowla — chórem mu odpowiedzieli.

— U was tu wesoło... hej hej! aż dusza się raduje... Mnie staremu młode przypominają się lata...

— Imość! — krzyknął pan Kociuba — przybył nam Oleksa nie jadłszy i nie piwszy.

Na to wołanie natychmiast zjawiła się dzierzawczyni.

— Niech Bóg da wam zdrowie, dziaduniu, żeście o naszej chacie nie zapomnieli... Prosimy do serednia na chleb, na sól...

— I na czarzę gorzałki — dodał dzierzawca.

— Czyż sposób odmówić, kiedy tak pięknie prosicie! — odparł dziad, udając się za gospodynią domu.

— Ot Oleksa nam opowie, co słyhać w świecie—rzekł pan Kociuba.

Nastała chwila zawieszenia rozmowy. Oleksa niedługo się bawił. Z pełnemi torbami wyszedł ze środka domu i usiadł naprzeciwko dzierzawcy, na wyniesionym umyślnie dla niego niziutkim stołku.

— Gdzieżeście dziadu bywali i coście słyszeli? — zapytał pan domu — opowiadajcie porządkiem, bo tu ludzie gadają, że się Moskal w sile zbiera...

Dziad głową pokiwał.

— O Moskalu i ja słyshał... Spotkałem się z radziwił-
łowskim kozakiem, co z pilnym listem jechał... ba nie je-
chał, ale szedł, bo mu koń na drodze zdechł... Otóż ten
kozak szedł ze mną od samego Kopajgrodu do Jajtuszko-
wa i mówił, że Moskale są i w Wilnie i w Warszawie,
że zbytują, że ciężko ludziom z nimi... Spotkałem jeszcze
i jakiegoś burłaka, a ten mówił, że carycia hramoty na
wszystkie strony świata rozsyła. Pomiędzy ludźmi niopakój.
Żniwa, Bogu dzięki, wszędzie dobre, ale Bóg święty raczy
wiedzieć, czy spokojnie doczekają ludzie przyszlórocznych
zniw... At...

Podniósł rękę i machnął nią...

--- Hospod' Boh czuwa nad nami...

— Oto mądre słowo! — podchwycił pan Kociuba.

To jednakże mądre słowo w smutną zadumę wpra-
wiło wszystkich, co na przyzbie siedzieli. A zaduma trwała
tak długo, póki muzyka grzmiała i młodzież tańczyła. Gdy
urwała i tropaki i hopaki nagle ustały, Oleksa odezwał
się w te słowa.

— Nakarmiliście dziada, napoiliście i daliście mu kny-
szów do torby, toż wypada, ażeby dziad wam za to pieśnią
odpłacił.

— Prosimy, prosimy — odparł pan Kociuba.

Dziad lirę na kolanach położył, korbą pokręcił i pal-
cami zaczął przebierać. Tancerze i tanecznicę hurmem do
niego się pogarnęli. Sformowało się gęste koło i po chwili
zabrzmiął śpiew:

— „Oj połem, połem kylyimskim,

Bytym szlachom ordyińskim

Hej hulau, hulau bidnyj kozak netiaha sim rik i czotyрэ,
Ta poterau z pid sebe try koni woronyi.

Na dwanadciatyj rik powertaje

Kozak netiaha do horoda Czerkas prybuwaje.“

I połała się pełnemi tonami długa дума o Handży
Andyberze *). W tłumie panowało milczenie. Słuchacze za-
wiesili uszy na ustach śpiewaka. Dziad powoli wygłaszał
strofę po strofie, akompaniując sobie cichem brzęczeniem
liry, która odzywała się mocniej w przestankach między

strofami, kiedy starzec, wznosząc czoło do góry, jakby wzywał natchnienia.

Pełnym malowniczego uroku był żywy obraz, jaki się w tej chwili na podwórzu olchowieckiej ekonomii zaimprowizował. Siwobrody dziad lirnik, pełen sił życia pan Kociuba, zaprawni wieśniacy i wieśniaczki, zhasani parobcy i dziewczki, dzierzawczyni, wiejscy muzykanci, dzieci, psy,

i księżyc i gwiazdy i chmurki na to się zebrały na turkusowem tle nieba, ażeby słuchać śpiewu dziada.

Duma płynęła i noc płynęła. Ludziom, co dzień cały pracowali, czasby już na spoczynek. Lecz nikt ani pomyślał o spoczynku, do którego wzywała noc, wprowadzie księżycowa, ale nie mniej przeto ciemna. Jakąż to bowiem jasność daje blade światło księżyca?... Niby to jasno, a



W tem nagle zrobiło się odrazu jasno jak w dzień. (str. 40).

formowali grupę wyrazistą i charakterystyczną, oświetloną z jednej strony wielką strzechą staroświeckiego domu, z drugiej konarami lipy, oświetloną w części bladym, bo tylko od połowy tarczy księżyca odbijającym blaskiem.

Księżyc biegł po niebie, chwiejąc się i chowając za chmurki, które, niby oderwane kłęby dymu, przesuwały się jedna za drugą. Gwiazdy mrugały. Duma płynęła.

Pełen malowniczosci był to obraz. Zdawało się, że

człowiek o dziesięć kroków przed sobą nie jest w stanie przedmiotu rozeznąć.

W tem nagle zrobiło się odrazu jasno jak w dzień.

Dziad w połowie tonu urwał śpiew. Słuchacze osłupieli i machinalnie wszyscy razem wzniesli oczy do góry.

Na wschodnio-północnej stronie horyzontu wbiegło na niebo... niby słońce. Ale dziwne było to słońce. Biegło szybko a za niem ciągnął się ogon w kształcie ognistej

różgi, z której sypały się gwiazdy. Trzęsło gwiazdami, biegło i zakreśliwszy łuk szeroki, raptem znikło, jakby wpadło w las, który z daleka przypiera do iwachnowieckiej karczmy. W powietrzu rozległy się szum, świst i w końcu głuchy huk.

Trudno opisać nieme przerażenie, jakie nagle oparowało zgromadzenie. Wszyscy osłupieli i mężczyźni i kobiety. Jeden tylko dziad nie osłupiał, bo on słyszał szum i huk, ale światła nie widział. Więc przerwał śpiew na chwilę; lecz go natychmiast znów rozpoczął. Pokręcił korbą, począł przebierać palcami i pierwsze akordy liry obudziły słuchaczy z osłupienia. Słuchać jednakże dalej — już nie byli w stanie.

— Dość, dziadu — rzekł pan Kociuba.

— Nie daleko już koniec pieśni — odrzekł starzec.

— Daj jej pokój... nie do pieśni nam po tym znaku na niebie...

— Po jakim? — zapytał dziad.

— Pokazało się słońce z różgą i gwiazdami sypało i zrobiło się jasno, jak w biały dzień... i to słońce wpadło w kutkowiecki las.

Dziad wstał, wyprostował się, zbladł na twarzy.

— W kutkowiecki las, powiadacie?...

— W kutkowiecki albo w uwsiański... — odpowiedział jeden z wieśniaków.

— I w tamtej stronie ta różga pokazała się na niebie?

— W tamtej...

Dziad głęboko westchnął. Przez chwilę milczał a po chwili powiedział:

— Ludzie dobrzy, to źle... To zły znak... Panie Boże! zlituj się nad nami grzesznymi... W tamtej stronie... Moskale...

Dzierzawczyni głośno się przeżegnała i odmawiać poczęła korónekę do przemienienia pańskiego. Wieśniacy, każdy z osobna osłonił piersi znakiem krzyża świętego, i powoli ciżba zrzedniała, i ludzie po kilkoro razem poczęli opuszczać podwórze, wynosząc ze sobą uczucie nie-

wysłowionego jakiegoś przeczuciowego przestachu. Kobięty tuliły się do mężczyzn; dziewczki trzymały się za poly ojców; z parobków nawet żaden sam nie odważył się odejść.

- *) Duma o Handży Andyberze znajduje się w zbiorze pieśni ludowych ruskich A. L. Metlińskiego (str. 377) i poprawniejsza w Zapiskach Południowej Rusi P. Kulisza (t. I. str. 200). Duma ta jest ważną pod tym względem, iż naucza nas, co lud ruski rozumie pod wyrazem „Lach.“ Nie jest to bynajmniej wyraz, służący do oznaczenia odrębnej narodowości. Rusin, jak sam siebie nie nazywa „Rusinem“, tak Lachem nazywa nie „Polaka“, lecz człowieka jednej z nim krwi, zajmującego wyższe społeczne stanowisko. Lachem nie jest u niego Moskał, jako obcy, ani Turek, ani Niemiec, lecz bez różnicy albo Polak, albo Rusin. Świadectwem tego niezbitem, bo w ludowej pieśni skryształizowanem, jest duma, o której mówimy, kiedy „kozak-netiaha“, Handża Andyber przybył do Czerkas, obdarty i zbiedzony, począł szukać i dopytywać się do „Nasti Horowoi“, kabasznyci (szynkarki) stepowoi:

— „Skoro kozak netiaha Nasti Horowoi, kabasznyci stepowoi, dopytawsia

Zaraz u świtlyciu wbraawsia

Tam pyły try Lachy

Duki-sriblanyki.“

Któż byli ci trzej „Lachy-duki?“

— „Perwyj pyu Hawryło Dowhopoleńko Perejasłauskij,

Druhyj pyu Wijteńko Niżeńskij

Tretij pyu Zołotareńko Czernikowśkij.“

Według innej wersji ci trzej „Lachy-duki“ nazywali się: „Wijteńko Kyjewskij, Suddieńko Perejasłauskij, i Hawryło Douhopoleńko Kryliwskij.“ Ci przeto Lachy należeli do tej samej narodowości, co Feśko Handża Andyber, hetman zaporozki, który podług pieśni, wziął na siebie ubogą odzież na to, ażeby upokorzyć dumę bogatych „Lachów“, co u Nasti miód i wino pili a nim pogardzali, póki on na kozaków Zaporozców nie świsnął, złota z trzosa nie dobył i w bogate szaty się nie przyodział. Pieśń o Handży Andyberze zaś służy, ażeby się z nią bliżej zapoznać. Jest ona dowodem jednym więcej przeciwko tym historykom, co wojny Kozaków z Lachami podają za międzynarodowe, i przeciwko tym etnologom, co w uczuciach ludu ruskiego szukają dowodów pokrewieństwa jego z Moskalami. (D. c. n.)

DO JASKÓŁKI.



Jaskółeczko! Jaskółeczko!

Z czem przybywasz do tej wioski?

Gdzie twa strzecha i gniazdeczko?

Ty ptaszyno matki Boskiej.

Gdy pomuśniesz już błękity,

Kiedy pierwsza witasz świty,

To przybywa już pociechy,

Z wiosną do tej wiejskiej strzechy.

Ale zkąd ci to ptaszyno

Przyszło do mnie tu zawitać?

Czy ze skrzydła światem płyną?

Czy chcesz może o co spytać?

Ja cię tylko słyszeć mogę

I przeżegnać twoją drogę; —

Powitanie nie zatrzyma,

Bo spoczynku dla cię nie ma.

Miedzy ziemią a błękitem
Lekkiem skrzydłem zawieszona —
Gdzie za tobą iść opytem?
Gdzie przysiędziesz przytulona?
Ty pomuśniesz dalej skrzydłem,
Po nad łąki po nad wody;
To pływ sobie na swobody,

Pływ skrzydłami i oczyma,
Prowadzona tęp wędzidłem;
Jakiem Bóg w swej łasce trzyma.
I nieś boże te pociechy
Sługom bożym dobrej woli,
Ludziom pracy, ludziom roli,
Pod te nizkie, wiejskie strzechy.

W. POL.

GNIAZDO SYNOGARLIC.

LEGENDA Z NASZYCH CZASÓW.



„Długie i rzewne płynęły modlitwy:
„Oni tam zginą Panie bez przewodu!
Strasliweś czasy dopuścił dla Litwy,
Zeszli pociechę duszną dla narodu!
Bo pod uciskiem już i dusza kłęka,
I język rwie się i wiara już pęka.
A gdy się wierny i złamany spodli,
Któż się z tej ziemi do Ciebie pomodli?
Kto na tej ziemi krzyża cię pochwali?
Kto ci się Panie ofiarą wyżali?
Kto tu nauczy pacierza i mowy?
Ludzkimi słowy i bożemi słowy?
Nikt tu już Panie do cię nie zagada —
To biada, biada, i wszystkiemu biada!“

.....
.....
I Pan na ziemię spojrzał miłościwie:
„Gdy wszystko padło — to wszystko ożywie;
Gdyś nie szedł ludu za twoim Aniołem,
Lecz władzą hardy upiłeś się w dumie:
I moc i władzę wszystką ci odjąłem.
Kiedyś zaufał w pogańskim rozumie:
Jam ci pokazał, że rozum nie starczy,
I wziąłem rozum abyś się ukoił.

Kiedyś się zerwał do miecza i tarczy:
Jam w obec wrogów twoich cię rozbroił.
Abyś nie wierzył ni w rozum, ni w władzę
Ni w miecz, ni w zdradę: to ja ciebie sadzę
Dziś na tej ziemi, gdzie straszno i ciemno,
Byś cudzych Bogów nie miewał przedemną;
Byś znał i o tem, że jam jest Jehowa,
Od słów stworzenia i Bożego słowa,
I że narody trzymam w mojem ręku,
W łasce i w karze, albo w dusznym lęku.
Przez ten lęk duszny droga do miłości,
I niech modlitwa wam tę drogę prości.“

I Bóg prawicę wszechmocną otworzył,
A jasny promień padł z ojcowskiej ręki,
Na ciemną ziemię modlitwy i męki,
I cierpi naród na to, aby ożył.
A w miejscu onem, gdzie wśród puszczy ciemnej,
Strzelił ów promień stworzenia tajemny,
Ożyło gniazdo synogarlic ducha —
Bo nieprzejrzane są zrządzenia Boże.
I biedna ptaszka w miłości wygrucha,
Co cały naród wymówić nie może —
I temu daje świadectwo na ziemi,
Miedzy obcemi i miedzy swojemi,
Biedna ptaszyna zabłąkana w lesie,
Co gdzieś od Nieba dobre wieści niesie.

W. POL.

Przysłano nam dwa wiersze Wincentego Pola, świeżo napisane, a że widzimy potrzebę objaśnienia tych wierszy, czynimy to. — Pod pseudonimem „JASKÓŁKI“ krążą od niejakiego czasu w rękach i pismach publicznych warszawskich utwory młodej poetki; zdaje się, że do tej „JASKÓŁKI“ zwrócony jest ten wiersz, podobnie jak wiemy z pewnością o tem, że z gniazda „SYNOGARLIC LITEWSKICH“ podała jedna wieść o swych towarzyszkach. Dziwna to rzecz, że właśnie dziś i na Litwie znalazło się razem i w sąsiedztwie ośm młodych poetek.

Wyjątki z utworów tych poetek tworzą piękne Album, i mamy przyrzeczenie, że Album to dojdzie rąk naszych i że się niem podzielimy z czytelnikami naszymi.

To osobliwe zjawisko ośmiu młodych poetycznych dusz, z których żadna jeszcze dwudziestu lat nie dorosła, daje do myślenia, a poeta nasz nazwał w swojej legendzie tę nową plejadę poetyczną „GNIAZDEM SYNOGARLIC.“

Od redakcyi.

AUGUSTYN KORDECKI.

Kto odbył pobożną na Jasną Górę pielgrzymkę, tego uwadze nie uszedł niezawodnie pomnik, który przedstawia dołączona do niniejszego artykułu rycina. Nie myślimy rozpisywać się tutaj nad pomnikiem samym, dając suche objaśnienie naszej ryciny; wolimy bowiem skorzystać z następczącej się sposobności i przypomnieć czytelnikom „Strzechy“ zasługi męża, którego wdzięcznej pamięci ten pomnik jest poświęcony, i opowiedzieć bodaj pokrótce wypadki, które mu następczyły sposobność okazania w całym blasku swojego bohaterskiego ducha.

Początek drugiej połowy XVII. wieku zdawało się, że przynosił Polsce ostateczną zagładę. Rzeczpospolita osłabiona wojnami z Kozactwem, domowymi zawichrzeniami i niezgodą możnych panów, bez zasobnego skarbu, bez wielkiej armii stałej, ujrzała się nagle zagrożoną ze wszech stron i najechaną przez czterech równie niebezpiecznych wrogów. Od wschodu Kozactwo, rozjuszone odniesioną niedawno pod Beresteczkiem klęską, i Moskale, odwieczni Rzeczypospolitej nieprzyjaciele, dybiący na jej zgubę, od północy Szwedzi, od południa Rakocy. Przywalony takim brzemieniem nieszczęścia, napadnięty równocześnie przez tylu najeźdźców, zachwiał się naród i w pierwszej chwili poddał się zwątpieniu. Pospolite ruszenia, jak grodzieńskie, nie chciały walczyć, a wielu możnych panów rozmiłowanych w pokoju, gotowych było dopuścić się jawnej zdrady ojczyzny dla salwowania siebie i fortun swoich, a to tem łatwiej, ile że jeden z najeźdźców, król szwedzki Karol Gustaw, ofiarował się zostać protektorem Rzeczypospolitej i jej złotej wolności i przyrzekał nawet pogromić Kozaków i Moskali. Uniewinniając tedy przed własnym sumieniem zdradę dobrze zrozumianym patriotyzmem, tłómacząc sobie, że najeźdźca, jeżeli przyrzeczoną protekcją dobrze wykonywać będzie, może przez wolną elekcję zostać prawowitym królem Polski w miejsce Jana Kazimierza, na którego detronizowanie łatwy w konstytucjach znajdzie się sposób, zwałając całą winę na króla — przeszło wielu senatorów na stronę Szwedów, a za panami poszły i tłumy drobniejszej szlachty, ulegając pokusie obietnic Karola. Nieszczęśliwy Jan Kazimierz ujrzał się opuszczonym, kraj stanął wrogiem otworem i wkrótce prawie cały popadł w ręce najeźdźców.

Wojska moskiewskie i kozackie, wkroczywszy do Litwy zajęły Wilno, a równocześnie z drugiej strony podstały pod Lwów. Karol Gustaw na czele armii będącej postrachem Europy, złożonej z weteranów wojny trzydziestoletniej, wkroczył przez Prusy do Wielkopolski i całą ją zagarnął. Wkrótce potem, przyzwany w pomoc Rakocy wpadł z 20tysięczną hordą Siedmiogrodzian do Małopolski

i w połączeniu ze Szwedami opanował Kraków. Reszta niezajętej jeszcze Litwy, wojsko kwarciarne i szlachta wielkopolska, poddały się Szwedom i uznały go za pana. Jan Kazimierz, nie mogąc się utrzymać w granicach Rzeczypospolitej, znękany, opuszczony, uszedł z kraju i na Śląsku szukał schronienia. Rzeczpospolita została wymazana z karty Europy.

Po opuszczonym kraju grasowały bezkarnie hordy łupieżcze Kozactwa i Rakoczego, wspólnie z Moskalami i Szwedami, zalewając go jak powódź rozigrana od krańca do krańca. Zdawało się, że już nie Polskę z tej powodzi nieszczęścia i zagłady wyratować nie zdoła. Tymczasem jej spienione fale rozbiły się o cudowny prawie opór jednej twierdzy, którą Szwedzi spodziewali się zdobyć bez najmniejszej trudności. Twierdza ta nie była bowiem ani tak szczególnie potężną i warowną, ani nie miała tak bardzo licznej załogi, lecz roztaczała nad nią świętą opiekę królowa Polski, Bogarodzica, a jej obrońcy ufnie w niezwykłą władzę tej opieki, śmiało stawili czoło przemocy Szwedów i dokazywali cudów waleczności.

Po zajęciu Krakowa i ustąpieniu Jana Kazimierza na Śląsk, wyruszył jeden oddział Szwedów ku Częstochowie, ażeby złupić tamtejszy klasztor Paulinów na Jasnej Górze, słynny równie głośno z cudów, jak z wielkich skarbów od wieków tamże nagromadzonych. Te to skarby właśnie nęciły szwedzkich łupieżców, a nie wierząc jako odszczepieńcy w cuda i w cudowną opiekę Bogarodzicy, spodziewali się, że wezmą forteczkę klasztorną bez wielkiego zachodu, i wykurzwszy z niej potulnych mnichów obłowią się wielkimi bogactwami, złożonemi w wotach i drogocennych sprzętach kościelnych. Ani przewidywali zuchwali najeźdźcy, że jasnogórska forteczka miała być opoką, o którą miały się skruszyć rogi dumy szwedzkiej, że pomiędzy zakonnikami jasnogórskiego klasztoru znajdzie się mąż wyższy nad wszelkie rachuby polityczne, zarówno odważny jak roztropny, a tak potężny niezachwianą wiarą w patronkę świętego miejsca, że go żadna przemoc zwyciężyć nie zdoła. Mężem tym, tym bohaterem w mnisim kapturze, tą najczystsza i najmocniejsza duszą ze wszystkich dusz polskich, w którą uderzając nieprzyjaciół miał wydobyc na jaw na własną zgubę ukrytą potęgę narodu, był przeor Paulinów jasnogórskich ksiądz Augustyn Kordecki.

Ks. Kordecki urodzony był w Iwanowicach, w województwie kaliskiem, około r. 1605 z rodziców stanu właściańskiego lub ubogich mieszczan, i dlatego Niesiecki nie wspomina o nim w swojej „Koronie“, jako o nieszlachcicu, lubo o mniej zasłużonej szlachcie szeroko się

rozpisuje. Imię jego światowe na chrzcie św. otrzymane było Klemens. Podług obyczajów zakonnych, przyjmując habit w dniu 25. marca 1634, w trzydziestym roku życia, zamienił je na Augustyna. Celował on jako kapłan surowych obyczajów, prawego i nieugiętego charakteru, a niepospolitemi zdolnościami zwracał na siebie uwagę zgromadzenia. Najprzód był przeorem w Oporowie, następnie w Pinczowie, a od r. 1650 na Jasnej Górze w Częstochowie. Było to właśnie lat pięć przed zwaleniem się na Rzeczpospolitą nawały szwedzkiej i moskiewskiej. Kordecki od początku brał żywy udział w smutnych losach ojczyzny. Podczas zajęcia Krakowa przez Szwedów bawił w stolicy i był obecnym przy zwiedzaniu grobów królewskich przez Karola Gustawa. Z oburzeniem patrzył świątobliwy ten kapłan na zniewagę świątyni i szatańską pychę wroga, a w parę dni potem powrócił do Częstochowy.

Dnia 18. listopada 1655. roku rozpoczęto oblężenie Jasnej Góry. Pierwszy oddział wojska wysłany pod Częstochowę składał się przeważnie z Polaków, którzy przeszli byli na stronę Szwedów. Dowodził nim Jan hrabia na Wrzeszczewicach Wejhard, niegdyś dobroczyńca klasztoru, a teraz usłużny stronnik Karola Gustawa. Chciał on skłonić mnichów do dobrowolnego poddania się i uznania władzy króla szwedzkiego i żądał, żeby twierdzę wydali w ręce naznaczonego przez Gustawa komendanta. Kordecki zwoławszy na radę zakonników odpowiedział parlamentarzowi Wejharda, „że boją się Boga, ale nie lękają się nieprzyjaciół i gotowi są umrzeć w obronie religii i prawowitego króla Jana Kazimierza.“ Dla Wejharda jako dla katolika miała ta odpowiedź gorycz wyrzutu sumienia i rozbudziła w nim taką nieubłaganą nienawiść ku cnotliwym zakonnikom, że postanowił zrównać z ziemią tę — jak się wyrażał — jaskinię zagorzalców. Mógł też Wejhard nie bez pewnej słuszności uważać Kordeckiego i jego braci zakonnych za zagorzalców, cała bowiem załoga twierdzy składała się tylko ze 170 żołnierzy, z 68 mnichów i 50 szlachty okolicznej, którzy się tutaj z rodzinami i służbą byli schronili, tak że w ogóle było zaledwie 400 ludzi zdolnych do broni. Pomimo tak szczupłej liczby obrońców jednakże, nie mógł Wejhard niczego dokonać, i po kilku daremnych próbach cofnął się ku Krzepicom, wzywając generała Millera na pomoc. Wkrótce też nadciągnął Miller w 8000 wojska z 20 działami polowemi, otoczył klasztor dokoła i przypuścił gwałtowny szturm.

Najprzód wyprawił Miller parlamentarza wzywając do poddania się i przyjęcia załogi szwedzkiej. Kordecki zasłonił się odezwą Karola Gustawa z dnia 30. września, potwierdzającą dawne przywileje, a więc i wolność klasztorów od stacyi wojskowych. Miller przedłożył rozkaz królewski obsadzenia Częstochowy. Kordecki odpowiedział na to, że miasto Częstochowa z klasztorem jasnogórskim nie mają nic wspólnego, i że klasztor dostateczną posiada

załogę, tak, że napadu lękać się nie potrzebuje. Rozwścieklony taką odpowiedzią Miller zerwał układy i rozpoczął szturm, nie mając atoli dział większego kalibru nie wiele mógł zrobić. Wśród najgęstszego ognia działowego, kiedy na murach dzielnie broniła się bracia szlachta, pachołcy zakonnici i co tylko było w twierdzy zdolnego do oręża, a ojciec Kordecki z krzyżem w ręku zagrzewał walecznych, krzepiąc ich ducha wiarą w świętość sprawy i cudowną pomoc bożą — zabrzmiał nagle nad głowami walczących z wieży kościoła hymn do Bogarodzicy, wykonany przez orkiestrę klasztorną. Dźwięki pieśni nabożnej, która Polaków od wieków wiodła w bój, mieszały się z hukiem dział i z bluźnierczemi okrzykami rozjuszonych nieprzyjaciół, podczas kiedy równocześnie w kościele nieustannie odprawiało się nabożeństwo, i starcy i niewiasty gorące do Bogarodzicy zasyłali modły. Wysłuchiwał też Bóg tych modłów. Kule odbijały się od murów klasztornych i padały jakoby bezwładne nie czyniąc szkody, a wycieczka, którą dowodził Piotr Czarnecki, powiodła się szczęśliwie i pułkownik szwedzki Horn poległ pod murami od kosy włościanina polskiego. Szwedzi spędzeni musieli opuścić najbliższe klasztorowi stanowiska, i Miller, widząc udaremnione wszystkie usiłowania swoje, zażądał, aby mu przysłano z Krakowa ciężkie działa do burzenia murów.

Korzystając z przerwy, a chcąc zyskać chwilę wytchnienia dla chwiejącej się na duchu załogi, zawiązał Kordecki nowe rokowania z Millerem i sam wysłał posłów, dwóch braci Paulinów, z warunkami ugody. Miller zatrzymał zakonników, straszył ich groźbą męczeńskiej śmierci, ale w końcu uwolnił. Tymczasem nadciągnął park artylerji oblężniczej, nadzieje oblężonych gasły, załoga traciła coraz bardziej odwagę, ale Kordecki nie zachwiał się ani na chwilę. Zewsząd, nawet od szlachty polskiej, ławicęj w obozie szwedzkim, przychodziły rady poddania się, księża sami, mianowicie młodszy i mniej doświadczony, poczęli wątpić i szemrać, szlachta okoliczna zbiegała się, aby odbierać żony i dzieci z twierdzy, której zburzenie zdawało się rzeczą pewną. Niezmierna odpowiedzialność ciążyła na głowie zakonnika-bohatera, nie ugiął się jednak i przewidując, że gdyby pozwolił wyjść komukolwiek, pozostałi straciliby ufność, nie kazał wypuszczać nikogo, odpowiadając, że sam ręczy za bezpieczeństwo wszystkich. Odrzucił też wszystkie przedstawienia, oświadczając stanowczo, że klasztoru bluźniercom imienia Maryi poddać nie może i nie podda.

Rozpoczęły się więc znowu szturm, ale i te szczęśliwie odpierała załoga jasnogórska zagrzewana i kierowana przez Kordeckiego. Siostrzeniec generała poległ w zamieszaniu od kuli szwedzkiej, maszyny oblężnicze, przytoczone pod mury, strzaskali oblężeni z dział klasztornych, a nowe zachwianie się załogi ukoił przeor gorącą przemową i wiadomością o blizkiej odsiecz. Dnia 14. gru-



dnia przysłał Miller ostatniego posła z upomnieniem poddania się, ale Kordecki pomimo proźb upadającej na duchu szlachty, odpowiedział, że dla zbliżających się świąt Bożego Narodzenia nie podda klasztoru. Miller spędził górników olkuskich i rozkazał im kopać miny pod murami. W sam dzień Bożego Narodzenia przypuszczono szturm gwałtowniejszy niż poprzedzające. Przeor przytłumił jednak i tym razem trwogę, nie pozwolił nawet wziąć się do broni, dopóki się nabożeństwo nie odprawiło, chociaż podczas procesji koło kościoła, kule i gruzy murów padały pod nogi. Miller i tego dnia nie odniósł żadnej korzyści, owszem stracił dowódcę artylerii.

Był to już szturm ostatni. Nadeszły wieści o zwycięstwach Stefana Czarneckiego, o powrocie króla do Polski, o ruchach odpornych na Podgórzu karpackim i o szczególnych utarczkach Krzysztofa Żegockiego w Poznańskim i Kaliskiem. Karol Gustaw wydał Millerowi rozkaz do dalszego pochodu. Miller chcąc sobie bodaj w części poniezione pod murami Częstochowy trudy i straty wynagrodzić, zażądał od mnichów okupu. Zwycięzca Kordecki przedstawił ubóstwo zakonników i przez żebraczkę, która się tego poselstwa podjęła, posłał generałom dary klasztorne: książki do nabożeństwa i obrazki. Pieniąc się ze złości i wstydu odstąpili Szwedzi d. 26. grudnia od oblężenia.

Obrona Częstochowy stała się hasłem powszechnego przeciwko wrogom powstania i sprowadziła w tej wojnie, grożącej Polsce ostateczną zagładą, szczęśliwy zwrot na korzyść Rzeczypospolitej. Tak stał się Kordecki zbawcą nie tylko swojego klasztoru, lecz całej ojczyzny, podnosząc swoim przykładem ducha jej synów i pokazując, jakich cudów dokonać mogą, wiara, męstwo, wytrwałość, poświęcenie i miłość ojczyzny.

Historycy cudzoziemscy, analizując skalpelem zimnego rozumu dzieje Polski XVII. w., zapytywali niejednokrotnie,

jakim cudem państwo pogrążone w takiej anarchii, tak ze wszech stron podkopane, przecież jeszcze przeszło wiek cały istnieć mogło. Odpowiedzią na to pytanie jest żywot Kordeckiego. Polska stała w owych czasach cnotą pojedynczych obywateli i bohaterskim poświęceniem synów swoich. Bez silnej organizacyi państwowej, bez stałego wojska, bez zasobnego skarbu z bezwładnym królem na tronie, zdawała się Rzeczpospolita łatwym łupem dla każdego wroga. Ale w chwili najgroźniejszego niebezpieczeństwa, znalazł się zawsze bohater jak Kordecki, a jego przykład jak iskra elektryczna zapalał przygasłą odwagę w narodzie, i rozbudzał w nim w jednej chwili uspięne siły.

Tak też i przykładem Kordeckiego rozbudzony z odrętwienia naród otrząsł ze siebie jarzmo szwedzkie i odzyskał niebawem napowrót utraconą jak się zdawało na zawsze niepodległość.

Tymczasem mnich-bohater dokonawszy wielkiego dzieła, powrócił z pokorą do swoich zajęć klasztornych, opisując ku wieczystej rzeczy pamięci cudowną obronę swojego klasztoru w książce pod tytułem: „Nowa gigantomachia przez Szwedów i innych kacerzy podjęta przeciw św. obrazowi Bogarodzicy na Jasnej Górze“, z której to książki wzięliśmy wszystkie szczegóły przytoczone w niniejszym artykule.

W r. 1666 został Kordecki wikarym całej prowincyi, w roku 1671 zaś prowincyałem Paulinów w Polsce i na Szląsku, na którym to dostojęństwie życia dokonał. Pełniąc bowiem gorliwie obowiązki prowincyała, gdy pomimo podeszłego wieku przez całą zimę r. 1673 klasztory paulińskie objeżdżał, zachorował z przeziębienia i w Wieruszowie d. 20. marca 1673 życie zakończył. Zwłoki jego sprowadzono do Częstochowy i w grobach klasztornych na wiecny złożono spoczynek.

L. Tatomir.

KOŚCIOŁ I KLASZTOR OO. BERNARDYNÓW WE LWOWIE.

Gmachów wspaniałych i pięknych niema Lwów do zbytku, a do najpiękniejszych można słusznie policzyć kościół, którego widok przedstawia załączona rycina.

Wiek jego, mianowicie co do istnienia w formie dzisiejszej, nie gubi się wprawdzie w mroku przeszłości, jak kilku innych kościołów lwowskich, gdyż kronika miejska liczy mu dopiero lat dwieście z górą; ale pierwotne założenie jego, jak również połączonego z nim klasztoru Ojców Bernardynów, sięga przecież aż do pierwszej połowy wieku XVgo. Początek więc jego, jak w ogóle większej części fundacyj tego rodzaju, odnosi się do owych czasów, kiedy religia stała jeszcze na straży cnót narodowych, kiedy

wszystkie stany rzeczypospolitej łączył jeden święty węzeł wiary i jawnej a niekłamanej pobożności.

Jak poświadcza rękopis bezimienny znajdujący się w bibliotece tego klasztoru, był pierwszym założycielem jego Andrzej ze Sprowy Odrowąż, palatyn (wojewoda) ruski za Kazimierza Jagiellończyka około r. 1460, a podanie to potwierdzają również wszyscy kronikarze lwowscy. Z tego też źródła dowiadujemy się, że ów Odrowąż, zmuszony w odległych okolicach Rusi zakładać przenośne obozy strażnicze, sprowadził pierwotnie tylko dwóch zakonników, w szkole błogosławionego Jana Kapistrana do ściślejszej reguły św. Franciszka i surowego życia za-

prawionych, i za przyzwoleniem władzy duchownej poruczył im sprawowanie obrzędów religijnych w swoim obozie. Po kilku latach jednakże osiadł tenże wojewoda we Lwowie, i ci dwaj zakonnicy, oddawna znani ze sławy ludowi ruskiemu, zjednali sobie wkrótce tak dalece przychylność obywateli lwowskich swoją pobożnością i wzorowym życiem, że im ofiarowano grunt dość znaczny przy bramie halickiej; i na tym to gruncie zbudował im Odrowąż skromny klasztor drewniany z kaplicą pod wezwaniem św. Andrzeja, swojego patrona, którą arcybiskup lwowski, Grzegorz z Sanoka, poświęcił i owych braciszków, do których przyłączyło się jeszcze trzech nowych, w klasztorze tym osadził, poruczając zarząd ojcu Gabryelemu z Weroni.

Stało się to w r. 1460, i odtąd zaczęła się chlubna a wcale nie łatwa służba zakonu tego na Rusi. Wkrótce bowiem potem, t. j. w r. 1464, wybuchła we Lwowie straszna zaraza morowa, i z owych pięciu Ojców, pełniących gorliwie swoje obowiązki kapłańskie, ocalał jeden tylko. Prócz tego prześladowała ich ciągle nienawiść ludności szczymskiej, mającej cerkiew w ich sąsiedztwie, i w końcu przyszło do tego, że podłożono ogień nocną porą i spalono ten klasztor wraz z kaplicą. Zbrodnia ta jednakże wypadła tylko na korzyść zakonu, gdyż zaraz w następnym roku 1465 zbudował ten sam Odrowąż na owych zgłiszczach większy i dogodniejszy, ale także drewniany klasztor z kaplicą, sprowadził świeżych zakonników z klasztoru Stradomskiego pod Krakowem i wyposażył ich znacznym funduszem. Wkrótce potem, gdyż jeszcze w tym samym roku, zmarł ów fundator, i zwłoki jego zostały złożone pod ołtarzem św. Andrzeja, świeżo przez niego wystawionym; ale ta powtórna fundacja jego pobożności przetrwała szczęśliwie aż do pierwszych dziesięciu lat wieku XVI.

Istniała więc ona niemal pół wieku, a czas ten był dostatecznym, ażeby ustalić na zawsze znaczenie i sławę tego zakonu w Polsce. Najwięcej zaś przyczynił się do wstawienia jego Błogosławiony Jan z Dukli, mąż głębokiej nauki i niezrównanej pobożności, który spędziwszy długoletnie, świątobliwe życie w tym zakonie, stał się po śmierci dla licznych cudów swoich czczonym po dziś dzień patronem i opiekunem miasta Lwowa. A gdy jest mowa o tym sławnym w dziejach kościoła mężu, nie od rzeczy będzie zamieścić tu także krótką jego biografię. Błogosławiony Jan z Dukli urodził się około r. 1420 z ubogich rodziców w miasteczku Dukli, w obwodzie niegdyś Jasielskim w Galicyi, na przedmieściu zwanem „Kaczyniec.“ Ukończywszy nauki przygotowawcze w Zaspizu, przepędził trzy lata na pobożnych rozmyślaniach, a potem udał się na uniwersytet krakowski, który słynął wówczas w całym świecie z wielu uczonych i świątobliwych mężów, i stał się tam wkrótce najgorliwszym zwolennikiem i przyjacielem św. Jana Kapi-

strana. Później wstąpił do zakonu OO. Franciszkanów we Lwowie i przez kilka lat piastował w nim godność przeora, aż wreszcie w r. 1470, upodobawszy sobie ostrzejszą regułę OO. Bernardynów, przeszedł do ich zakonu i w nim w r. 1484 dokonał świętego żywota swego. Jakiemi cudami zasłynął po swoim zgonie, opisują obszernie kronika klasztorna i liczne pisma poświęcone czci tego Świętego, i do nich też odsyłamy ciekawych w tym względzie czytelników; tu zaś dodamy tylko to jeszcze, że bullą Papieża Klemensa XII z r. 1739 potwierdzone zostało przyjęcie Bł. Jana z Dukli w poczet patronów Polski, Rusi i Litwy, a obchód uroczystości jego naznaczono na pierwszą niedzielę po oktawie śś. apostołów Piotra i Pawła. Tutaj też będzie na miejscu wzmianka, że w r. 1649 wzniesli obywatele miasta Lwowa Bł. Janowi z Dukli, z wdzięczności za cudowną obronę jego podczas oblężenia miasta Lwowa przez Kozaków pod dowództwem Chmielnickiego, kolosalną statuetę przed kościołem, która istnieje dotąd, z następującym napisem: „Miasto Lwów, ręką Bł. Jana z Dukli w r. 1648 cudownie uwolnione od napaści Chmielnickiego i Tokaja hana tatarskiego, ten pomnik wystawiło w r. 1649.“ A teraz wracamy już do dalszej historii tego klasztoru i kościoła.

W pierwszych latach wieku XVIgo ponieśli OO. Bernardyni nową, bardzo dotkliwą klęskę. W r. 1511 oblegał miasto Lwów przez trzy dni Bohdan, gospodar mołdawski. Ojcowie zaskoczeni niespodzianym jego napadem, zaledwie zdołali sami schronić się w mury miejskie, zostawiając cały dobytek klasztorny i sprzęty kościelne, a nawet relikwie Bł. Jana z Dukli na łup nieprzyjacielowi. Następnej nocy udało się wprowadzić obywatelom lwowskim unieść z kościoła zwłoki Świętego do miasta, ale klasztor z kościołem stały się pastwą płomieni wzniesionych przez nieprzyjaciela. Od tego czasu przepędzili OO. Bernardyni dwa ciężkie lata niejako na tułactwie w mieście, aż wreszcie w r. 1514 udało im się urządzić na dawnym miejscu nową siedzibę dla siebie. A mianowicie — jak opowiada kronika miejska — zbudowali oni klasztor z drzewa wyżebranego z najbliższych lasów, kościół zaś św. Andrzeja, ażeby był bezpieczniejszym od ognia i trwalszym, na sposób pruski z cegieł palonych i drzewa, i do tej nowozbudowanej świątyni odniesiono w tryumfie zwłoki Bł. Jana z Dukli. Jaką była struktura tego nowego kościoła, nie powiada kronika, to pewna tylko, że znajdowała się na nim wieża z zegarem, tak jak dzisiaj, gdyż w archiwie miejskim znajdujemy pod r. 1548 wzmiankę, że w tym roku zaciągnięto dzwon do zegara na wieży u Bernardynów, podwyższono zapłatę zegarmistrzowi miejskiemu po 12 groszy na miesiąc za naciąganie obydwóch zegarów miejskich, a gwardyanowi, synowi mieszczanina Stancla Hazy, za staranie i dozór przy naprawie zegara dano dwa garnce małwazyi.

W tym przybytku nowym żyli OO. Bernardyni prawie wiek cały, wzrastając coraz więcej w liczbę i znaczenie, i to była też istotnie najświetniejsza epoka w dziejach tego klasztoru. Wzorowe, jałmużnami tylko utrzymywane życie zakonników i niezmordowana gorliwość w szerzeniu wiary świętej, wslawiły wielce ten zakon w całej Polsce i jednały mu z każdym prawie rokiem nowych protektorów i zwolenników. Spółczesny kronikarz ks. Tomasz Pirawski, szufagan lwowski i biskup nikopolitański, opowiada w swoim rękopisie, że za życia jego przy końcu XVI wieku mieszkało w tym klasztorze już siedmdziesięciu trzech zakonników, i że prócz tego był on podówczas matecznikiem, zapelniającym wszystkie inne klasztory tej reguły, pozakładane w krótkim czasie na Rusi, Wołyniu, Podolu i na Litwie.

Na początku XVIgo wieku istniało już w kościele OO. Bernardynów we Lwowie kilka bractw, między innemi „bractwo paska św. Franciszka,“ założone jeszcze w roku 1464, jak świadczy odnośny dokument klasztorny, pisany gotyką w połowie na pergaminie a w połowie na zwykłym papierze. Jestto ciekawe pismo szczególnie z tego względu, że w licznym spisie członków, należących do tego bractwa, podane są ówczesne imiona obywateli lwowskich, a nawet wielu rodzin szlacheckich, których potomkowie żyją po dziś dzień, z wymienieniem miejsc ich pochodzenia. Tak między innemi znajdują się tam nazwiska szlachty z Halicza, z Glinian, z Drohobycza, z Tuligłówn, z Gołogór, z Wojniłowa, z Wojnicza, Przemyśla, Zamarstynowa i wiele innych, mających dziś wartość historyczną. Jestto więc rodzaj źródła legitymacyjnego dla herbarzystów. Na uwagę zasługuje i to jeszcze, że w liście tej znajduje się wiele nazwisk niemieckich z dopiskami niemieckimi. Są to po największej części nazwiska rzemieślników niemieckich, którzy jak wiadomo z dziejów za panowania Kazimierza Wielkiego osiadali licznie po miastach Polski i Rusi Czerwonej; a liczba ich we Lwowie musiała być dość znaczna, kiedy w kościele tym bywały nawet dla nich kazania niemieckie. W tym samym wieku ku końcowi zaprowadzone zostało u Bernardynów lwowskich nowe bractwo żołnierskie, pod tytułem św. Michała, przez Bernardyna Marcina z Bydgoszczy, który i statuta temu bractwu przepisane drukiem ogłosił.

Tak stały rzeczy do pierwszych lat XVII wieku, i w tym czasie cieszył się klasztor bernardyński we Lwowie takim już wzrostem, że Ojcowie uznali za rzecz potrzebną pomyśleć o zbudowaniu innego, obszerniejszego i trwalszego klasztoru, któryby mniej ulegał niszczeniu wpływowi czasu, a oraz bezpieczniejszym był od pocisków ogniowych, miotanych w czasie napadów nieprzyjacielskich z murów i warowni miejskich. Właśnie w tym czasie obdarzyła ich pobożność chrześcijańska dwoma obszernemi gruntami na przedmieściu halickiem; mieli więc gdzie się

rozszerzyć, a chcieli oraz zgotować sobie bezpieczniejsze schronienie na wypadek nowych napadów, jakimi już kilkakrotnie trapiły miasto Tatary, Turki i Wołochy.

Ale właśnie z tej samej przyczyny sprzeciwiała się rada miejska temu zamiarowi. Klasztor i kościół, wymurowane z cegieł i kamienia pod samemi murami miasta, mogły także i nieprzyjacielowi następczać schronienie, ułatwiać przystęp do miasta i tym sposobem narażać je na największe niebezpieczeństwo. Rada miejska nie chciała przeto zezwolić na murowanie klasztoru, i sprawę tę musiano przedłożyć królowi. Prowincyał zakonu ks. Benedykt udał się z prośbą do króla Zygmunta III, który zważywszy o co rzecz idzie, mianował komisję złożoną z arcybiskupa lwowskiego Jana Dymitra Solikowskiego, z kasztelana lwowskiego Stanisława Żółkiewskiego, z starosty lwowskiego Jerzego Mniszka i z kilku radców miejskich, i porucił jej rozstrzygnięcie tej sprawy. Komisya ta, zasięgnąwszy rady architektów i znawców, uchwaliła na początku roku 1601, że wolno OO. Bernardynom murować kościół i klasztor z kamienia i cegieł palonych, ale pod tym warunkiem, ażeby budynki te, przypierające do murów miejskich, obwarowali murem i basztami. Jakoż w tym samym roku jeszcze, w uroczystość podniesienia Krzyża św., założył wspomniany arcybiskup po odprawieniu mszy św. kamień węgielny na nową świątynię i zatknął krzyż na nim w obecności Jana Zamojskiego, wiel. het. kor., i Stanisława Żółkiewskiego, jakoteż wobec znacznej liczby szlachty, konzultów miasta, obywateli lwowskich i licznie zgromadzonego ludu.

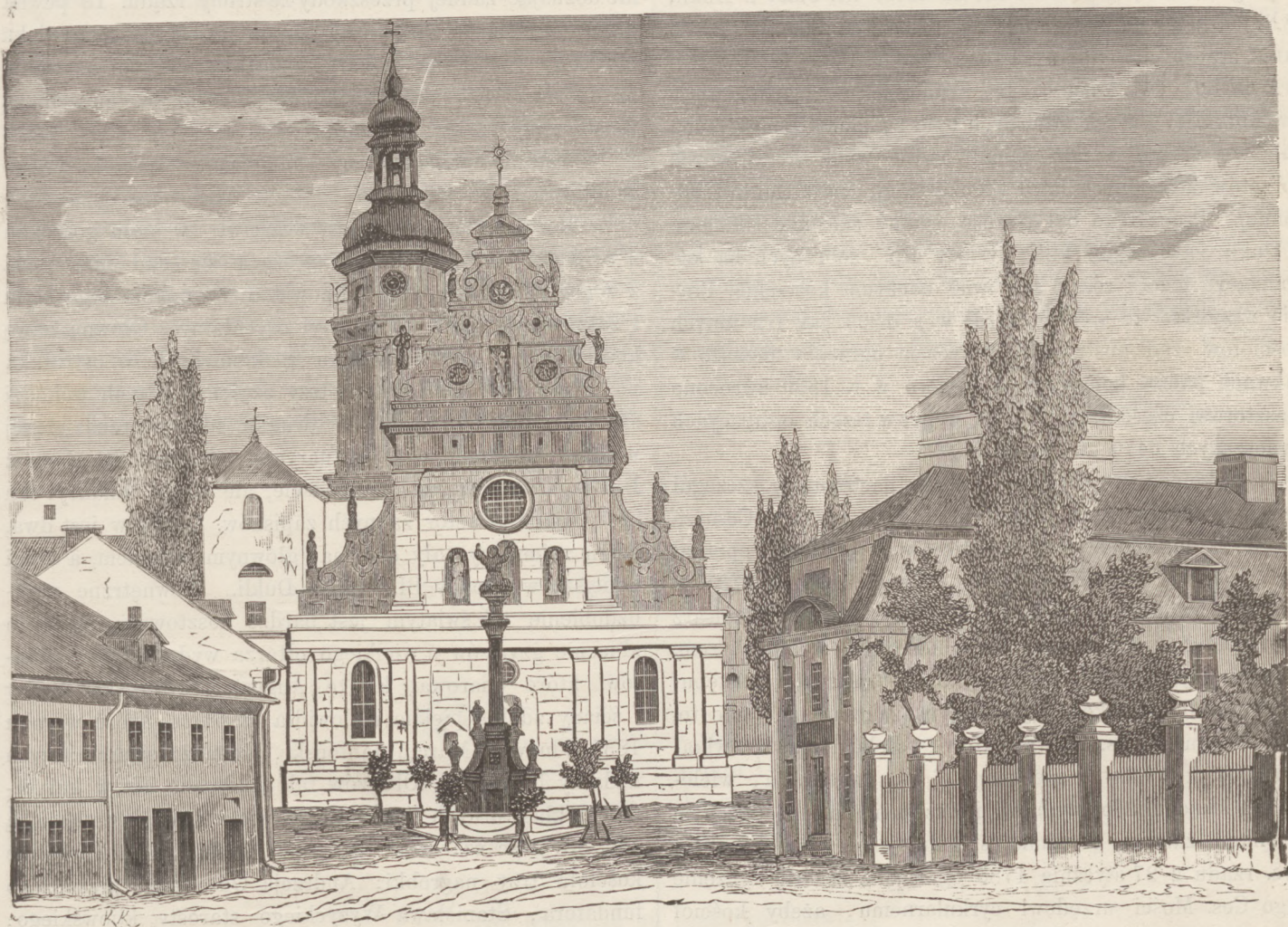
Zaraz też potem zabrał się konwent do zakładania fundamentów kościoła, poruczając zarząd budowlu ojcu Bernardynowi Avellides, który ukończywszy w dwóch latach fundamenta rozpoczął potem budowę przedniej nawy kościoła, która dziewięć lat trwała. I gdy ta część kościoła jako tako już ukończoną i ozdobioną została, odprawił w niej ten sam O. Avellides w dzień św. Bernarda r. 1611 pierwszą mszę św., a następnego lata położył na grobie Bł. Jana z Dukli pomnik z żółtawego marmuru, ten sam, który po dziś dzień znajduje się pod ołtarzem tego Świętego. W latach następnych, t. j. od roku 1612 do 1619 pracowano nad zbudowaniem tylnej nawy kościoła, ale w ciągu tej budowy umarł ojciec Avellides, i ukończenie jej zostało poruczone po jego śmierci ojcu Ambrożemu Włochowi. Była to — jak się domyślać można — budowa mozolna a co więcej za kosztowna na klasztor jałmużniczy, ale ułatwiała ją hojność protektorów. Najwięcej przyczynili się do zbudowania tego kościoła król Zygmunt III. i starosta Jerzy Mniszek, którzy ofiarowali na to bezpłatnie kamień ze swoich łomów; ich też uważają Ojcowie Bernardyni za nowych niejako fundatorów swoich i przechowują z największą wdzięcznością ich portrety. Prócz tych dopomogło niemało ręką i pieniędzmi do zbudowania głów-

wnej nawy kościoła, wracające w r. 1613 zwyciężkie wojsko z Moskwy, w liczbie do siedmiu tysięcy, pierwszej sławy wojownicy, którzy kilku swoich towarzyszy, poległych w wojnie moskiewskiej, sprowadzili ze sobą do Lwowa i pochowali w tutejszym kościele OO. Bernardynów.

Gdy kościół był już zbudowany, zajął się magistrat lwowski zbudowaniem klasztoru, poruczając trzem geometrom ułożenie planu jego w taki sposób, ażeby nietylko służył na mieszkanie zakonnikom, ale także na umieszczenie załogi miejskiej. Odnaczono na ten cel miejsce przy-

poźniej król Władysław IV. magistratowi lwowskiemu, ażeby nie dozwalał stawiać chat i bud drewnianych pod murami klasztoru.

Taką jest historia zbudowania tego kościoła. Dwa wieki z okładem upłynęły od tego czasu; z owej strażnicy miasta została tylko część muru z blindami od wschodu; zabudowanie klasztorne uległo także rozmaitym zmianom, ale gmach kościelny pozostał nietknięty i przetrwał w kształcie pierwotnym aż do dni dzisiejszych. Ale nim podamy bliższe opisanie jego, musimy uzupełnić jeszcze kil-



Kościół i klasztor OO. Bernardynów we Lwowie. (str. 46.)

datne do obwarowania, które miasto dla własnego bezpieczeństwa bezpłatnie ofiarowało, i tam zbudowany został podług planu zawezwanych architektów nowy klasztor w taki sposób, iż wyglądał raczej na twierdzę niż na klasztor, tak że sam król Zygmunt III. ujrawszy go podczas bytności swojej we Lwowie, nazwał go strażnicą miasta, a mieszczanie tarczą go swoją nazywali. Tym sposobem został ów klasztor z kościołem, jakkolwiek zbudowany na przedmieściu halickiem, wcielony do fortyfikacji miasta, i by go ubezpieczyć od wszelkiego uszkodzenia, rozkazał

koma szczegółami naszą monografię.

Ostateczne wykończenie budowy, jako też przyozdobienie wnętrza kościoła, zajęły jeszcze kilka lat czasu, i dopiero w r. 1630 mogło nastąpić poświęcenie jego. Tego uroczystego aktu dokonał arcybiskup lwowski, Andrzej Pruchnicki, który oraz potwierdził dawną jego nazwę św. Andrzeja i obchód rocznicy poświęcenia nazначzył na третią niedzielę po Wielkanocy.

Ciekawą też jest wzmianka, jaką znaleźliśmy pod rokiem 1624 w kronice klasztornej o skarbcu kościelnym.

W tym roku bowiem spisany został inwentarz zakrystyi, i sama kronika powiada przytem: „Zajrzyj łaskawy czytelniku do tego inwentarza, a zdziwisz się, jak bogaty jest dom boży.“ Owoż wylicza ten inwentarz: kielichów z szczerzego złota dwa, jeden sprawiony przez Jana Opatowskiego, kanonika lwowskiego, wartości 270 dukatów, a drugi wysadzany drogiemi kamieniami, dar Barbary Chodzienkowej Ormianki, nawróconej z szyzmy na wiarę katolicką przez zakonników tego konwentu; srebrnych zaś kielichów dwadzieścia dwa, z tych jeden pozłacany. Po między wotami, ofiarowanemi na cześć Bł. Jana z Dukli, była jedna tarcza złota, wartości dziesięciu dukatów, a 145 tarcz srebrnych; Najśw. Panna Marya miała wotów srebrnych 60; św. Anna 6, św. Franciszek 4, św. Michał 1, św. Antoni 4. Puszek srebrnych było 2; monstrancya jedna cała ze srebra i pozłacana; nadto wiele kosztownych sprzętów kościelnych daru Sieniawskiej, marszałkowej koronnej. Prócz tego był jeszcze osobny skarbiec Bł. Jana z Dukli, zawierający kilka tysięcy złp., zebranych na kanonizacyę jego, i różne szacowne naczynia kościelne. Prawie wszystkie te srebra zabrał w r. 1809 jak i z innych kościołów rząd austriacki, przyczem ugrzęzło niemało w sakwach panów komisarzy, i dopiero w r. 1839 zwrócono klasztorowi część wartości tych sreber w trzech obligacyach wynoszących 6470 zlr. m. k.

Nakoniec przytoczymy jeszcze następujący szczegół ważny z historyi tego klasztoru. Gdy z rozkazu Cesarza Józefa II. zniesiono wiele klasztorów w Galicyi, spotkał ten los także OO. Bernardynów lwowskich. Roku 1785 na dniu 22. kwietnia przybyli do klasztoru cesarski komisarz Schumpeter z radcą izby obrachunkowej Mehlbacherem, i zwoławszy wszystkich zakonników i braciszków następujący spisali protokół: „Zwołanym zakonnikom jako to, przewielebnemu ks. prowincyałowi, wielebnemu ks. wikaryuszowi kościoła w nieobecności ks. gwardyana, wielebnemu księdzu zakrystyanowi i wszystkim innym obecnym członkom zakonu oznajmia się niniejszem, że dekretem wys. rządu z 27 stycznia 1785 ogłoszone zostało życzenie Jego Ces. Mości urzędowi cyrkularnemu, ażeby kościół i klasztor terażniejszy OO. Bernardynów zniesione zostały, a członkowie tego zakonu po innych klasztorach umieszczeni; zaczem wszelkie kosztowne sprzęty i szaty kościelne, jako też wszystkie realności klasztorne, kapitały, dobra ruchome i nieruchome, mają być za poprzedniem złożeniem przysięgi ze strony przełożonych i innych zakonników, zajmujących się administracyą dóbr klasztornych, dokładnie i sumiennie podług ułożonego w tym celu inwentarza spisane. W skutek czego terażniejszy konwent niniejszem się rozwiązuje, i powyższe życzenie Jego Ces. Mości pojedyńczym członkom oznajmia się.“ Protokół ten podpisywali z głośnym płaczem OO. zakonnicy, a wikaryusz i zakrystyan składali łkając dyktowaną przysięgę.

Od tego wypadku następuje luka w kronice klasztornej aż po rok 1822. Niema żadnych śladów, czy konwent w istocie został rozwiązany, ani też jakim sposobem i kiedy nanowo go zatwierdzono. Zdaje się tylko, że w następnych latach burzliwych, w czasie wojen napoleońskich, niepodobna było rządowi przestrzegać tak ściśle tego rozkazu, i że OO. Bernardyni, których kilku jak wiadomo z tradycyi przemieszkowało po zniesieniu klasztoru pokryjomu na poddaszu a nawet na wieży kościelnej, po kilku latach śród zaburzeń powszechnych osiedli napowrót w klasztorze nie doznając żadnej przeszkody ze strony rządu. To pewna tylko, że gmach klasztorny z początkiem naszego wieku obrócony został na koszary i zostawał w tem używaniu aż do roku 1831, ale przy końcu pobierał już konwent za to stosowny czynsz od rządu.

A teraz przechodzimy do opisanja kościoła i jego osobliwości.

Kościół zbudowany jest właściwie w stylu gotyckim z trójkątną facyatą, ale wznosząca się nad nim wieża z zegarem nie zupełnie odpowiada warunkom tego stylu i zakrawa już potrosze na styl orientalny. Główną nawę kościoła dzieli sześć kolumn zasklepionych w ostrołuki, po trzy z każdej strony, na trzy części, a z tych wchodzi się po kilku stopniach do drugiej nawy, przedzielonej wielkim ołtarzem na Sanktuarium i kaplicę Bł. Jana z Dukli. Ołtarzów jest siedmnaście, ale co do fundacyi ich nie posiada klasztor żadnych zapisków. Organów jest dwa, jeden zajmujący cały chór nad głównym wchodem, a drugi mniejszy w kaplicy Bł. Jana z Dukli. Wewnętrzne przyozdobienie tej świątyni jest bardzo kosztowne; na samo złocenie gzymsów u wielkiego ołtarza wydano 2000 dukatów, które ofiarował książę August Czartoryski. Sufity i ściany zdobią piękne malowidła *al fresco*, które w roku 1838 odnawiał Marcin Jabłoński, jeden ze znakomitszych malarzy lwowskich. Obrazów tak w kościele jak w kurytarzach klasztornych jest bardzo wiele i między niemi są niektóre dość szacowne. Nakoniec zdobią jeszcze wnętrze kościoła trzy nagrobki: Andrzeja Odrowąża, pierwszego fundatora, Stanisława Wyżyckiego starosty kijowskiego, i Jankuły hospodara wołoskiego, ściętego we Lwowie.

Z innych osobliwości zasługują na wspomnienie srebrny, pozłacany kielich z patyną starożytniej roboty, krzyż srebrny również starożytny i szkatułka biała z aksamitu z uszkiem, wszystko to przechowywane z wielką czcią jako pozostałości po Bł. Janie z Dukli. Z dzwonów jest tylko jeden godniejszy uwagi, mianowicie sprawiony jeszcze w XVI. wieku a później ochrzczony imieniem „Duklana“, dzwon ważący 4285 funtów wiedeńskich, z sercem 300 funtów, który jednak z powodu pęknięcia dwakrotnie już przelewano. Jestto po wielkim dzwonie w Wołoskiej Cerkwi największy dzwon we Lwowie, ale dla złego przelania i zbytnej grubości mniej jest głośniejszy, niż inne.

Osobistości sławnych w innym względzie, prócz religijnego, bardzo mało wydał ten klasztor. Głównym jego świecznikiem i ozdobą jest — jak wiemy już — Bł. Jan z Dukli, a obok niego można wymienić jeszcze tylko ks. Cypryana Damierskiego, jako męża uczonego, po którym pozostała w rękopisie dość obszerna i ciekawa kronika historyczna z XVII. wieku. Tradycyjnie utrzymuje się jeszcze w klasztorze pamięć kilku innych uczonych lub biegłych w sztukach zakonników, ale pewniejszych śladów o nich nie znaleźliśmy żadnych. I zresztą nie miał w ogóle zakon bernardynski, nie zajmujący się nigdy wychowaniem publicznem, nawet sposobności do wydawania z łona swego znakomitości naukowych; ale za to przyznać mu potrzeba wielką zasługę w tem, że obok gorliwego wypełniania swojego apostołstwa wiary dawał zawsze narodowi najświetniejszy przykład patriotyzmu i poświęcenia dla ojczyzny w najboleśniejszych jej przejściach i upadkach. Zmuszony dla swojej egzystencji żebraczej zostawać w ciągłej styczności z okoliczną szlachtą i ludem, wpływał on niemało za pomocą swoich kwestarzy, zwyczajnie ludzi bardzo zacnych i obrotnych, na poprawę obyczajów i krzepienie ducha narodowego, i możnaby przytoczyć na dowód niejeden przykład, szczególnie z nowszej epoki naszych dziejów, że w chwilach najkrytyczniejszych spełniali OO. Bernardyni najważniejsze usługi dla ojczyzny. W tym sa-

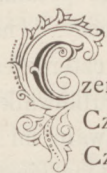
mym duchu działali także ich kaznodzieje, między którymi zjednało sobie kilku szeroką sławę, jak przed kilkoma laty ks. Kąnty we Lwowie, i to jest — powtarzamy za sługą, w której OO. Bernardynom mało który klasztor w Polsce dorównał.

W ostatku pozostaje nam jeszcze dodać kilka słów o bibliotece klasztornej. Podarował ją klasztorowi Jan Opatowski, kanonik lwowski, a później pomnożył ks. Wenanty Tyszkowski, prowincjał tego zakonu, zbiorem rzadkich dzieł i rękopisów. Ale w r. 1772, gdy Galicya przeszła pod panowanie Austrii, a konwent lwowski OO. Bernardynów przydzielony został do prowincyałatu w Łucku, miano zabrać większą część dokumentów i dzieł rzadszych z tej biblioteki do Łucka, i tam zaginęły gdzieś bez śladu. Potem zostawała biblioteka przez długie lata w największym nieładzie, wiele rzeczy zaginęło, wiele przeniesiono do biblioteki cesarskiej; dopiero w r. 1853 zajął się jej uporządkowaniem ks. Łapczyński, spisał katalogi, poukładał rękopisma, i jemu zawdzięcza konwent uratowanie od zagłady reszty skarbów bibliotecznych. Obecnie liczy ta biblioteka do 4000 tomów, ale po największej części dzieł nowszych, a rękopisów zaledwie kilkanaście, między temi najważniejszy — kronika ks. Damierskiego z XVII w.

FR. WALIGÓRSKI.

X

W PAMIĘTNIKU L. S.



czemu mi wiedziesz różyczko biała?

Czyż ci zabrakło słońca i rosy,

Czy mroźnym wichrem zima zawiała,

Szaremi mgłami zwiśły niebiosy?

Nie wiedzniże mi różyczko biała!

Żarem cię serca mego ogrzeję,

Będiesz się rosą łez mych kąpała,

Tchnieniem miłości chmury rozwieję.

Rozjaśnij lica, wznies białe czoło!

Z wiosną przeminie, co cię dziś smuci;

Znów w jasny błękit spojrzysz wesoło,

Wróci twe szczęście — lecz mojeż wróci?!

Lucyan T.

SŁOWO BEZ ECHA!

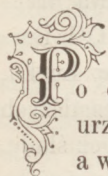
SZKIC POWIEŚCIOWY

PRZEZ

JANA ZACHARYASIEWICZA.

(Ciąg dalszy.)

VII.



o odejściu Karola zakończył komisarz swoje funkcje urzędowe, pozamykał w biurku wszystkie szufladki, a wziawszy lepszy mundur na siebie, wyszedł na ulicę. Rozmowa z Karolem wprawiła go w jakiś dobry humor. Myśląc o niej uśmiechał się do siebie. Przypomniawsobie strach nieboraka, przypomniawsobie, jak bladł na jego zapytania i spojrzenia, a to wszystko utwierdzało go w tem przekonaniu, że jest człowiekiem na swoim miejscu. Z dumą więc wydymał wargi, poprawiał halsztuka i z pewnem lekceważeniem patrzył na przechodniów.

Przeszedł całe Krakowskie przedmieście, minął Kopernika i wszedł na Nowy Świat.

Na Nowym Świecie ujrzał z daleka dwóch ludzi, którzy kilka kroków szli razem, kilka słów do siebie przemówili, a potem rozdzielili się nagle. Jeden z nich poszedł na lewą, drugi na prawą stronę ulicy. I tak w równej prawie linii postępowali dalej, rozdzieleni całą szerokością ulicy.

Komisarz widział to, zmierzył ich koleje swoim czarnem, wypukłym okiem i zawołał stojkowego.

— Widzisz tam tego pocziwca w długim palto?... A tam na drugiej stronie w tej popielatej czapce?... Oba weźmiesz do cyrkułu, każesz się im wylegitymować i poszukasz koło nich!

Stojkowy skłonił się i gwizdnął na drugiego stojkowego. Jakkolwiek świst ten wśród nieustającego turkotu powozów i dorózek zupełnie gdzieś utonął, stojkowy jednak na drugim końcu ulicy posłyszał go, i pospieszył szybkim krokiem na pomoc swemu towarzyszowi.

Komisarz szedł dalej i za tem, co się stało, wcale się już nie oglądał. Patrzył tylko przed siebie i szukał nowych, zagadkowych postaci.

Na rogu Nowego Świata i alei jerozolimskiej, przed samą cukiernią Sewadeniego zatrzymał się, jakby na kogoś czekał. Dążył właśnie w kierunku ku niemu jakiś staruszek w długim surducie. Wąsy jego do góry podgolone i czapka z fantazją na bakier nasadzona przypominały mimowoli czasy wielkiego księcia Konstantego, i nierozdzielny z tem wspomnieniem Plac Saski.

Komisarz tak się ustawił na rogu ulicy, że staruszek musiał koło niego przechodzić.

— Dzień dobry, mości pułkowniku! — zawołał komisarz rozpierając ręce w kieszeni.

— A dzień dobry, dzień dobry — odparł zapytany uchylając czapki i spiesząc dalej.

— Gdzież to tak pilno? mości pułkowniku? Czy na ulicę świętojańską do ładnej baletniczki?

— Żarty, żarty panie komisarzu! Nędza z biedą... z nami idą!

— Powiedz mi pułkowniku, jaki masz sekret, że tak ślicznie zawsze wyglądasz?

Komisarz znał najsłabszą stronę starego wiarusa. Pułkownik przypomniawsobie zwycięstwa ze saskiego placu *cum quibusdam aliis*, musnął po siwych wąsach, roześmiał się i odparł:

— Bo też to inna za moich czasów była generacja! Dzisiaj pożał się Boże! Ot popatrz pan!

— Ale tak naprawdę powiedz pułkowniku, wiele masz lat? Ja nikomu nie powiem.

Była to znowu najdrażliwsza strona pułkownika. Dosyć niegrzecznie ofuknął pytającego:

— A cóż to? Czy pan potrzebujesz tego do nowej konspiracyj? Czy chcecie mnie na Kaukaz wysłać?

— Dla tego pytam, bo słyszałem, żeś pan przed tygodniem był chory, a nawet familia...

— Ja lat czterdzieści nigdy nie chorowałem! — odparł z gniewem pułkownik — i zapewne umrę stojąc na nogach.

— Bo zdawało mi się... ktoś mówił, żeś pisał do krewnych obawiając się...

— Mam tylko w Podlaskiem stryjecznego brata, ale dwa lata nic do niego nie pisałem.

Komisarz uśmiechnął się i pomyślał chwilę. Korzystając z tego pułkownik skłonił się i dalej poszedł.

Za chwilę przystąpił do komisarza stojkowy. Obejrzał się na wszystkie strony i rzekł półgłosem:

— Ptaszków wsadziłem do kozy. Jeden z nich miał w kieszeni od surduta zegarek z urwanym łańcuszkiem, u drugiego znaleźliśmy trzy wytrychy.

Komisarz obojętnie przyjął ten raport. Zdaje się, że tak był pewnym siebie, iż nic innego usłyszyć nie spodziewał się. Dał znak stojkowemu, aby odszedł, a sam poszedł dalej.

Dzień dzisiejszy był widocznie dla niego szczęśliwy. Wiele rzeczy udało mu się dzisiaj. Ze sprawy z Karolem

był tylko jakoś niekontent. Miał jakieś lepsze przeczucie, a jednak spotkał go zawód. Myślał więc nad tą sprawą, rozbierał ją w głowie i w najrozmaitszy sposób kombinował.

Wreszcie nie wymyśliwszy nic szczególnego poszedł na lampkę wina, po lampce wina poszedł na pięć szklanek czaju, a po czaju położył się do łóżka poleciwszy się czuwającej Opatrzności boskiej.

Ale Opatrzność boska dziwnie się tej nocy nim opiekowała. Nasyłała mu tak niespokojne i dręczące sny, że kilka razy musiał się budzić i zimną wodę popijać. Przechodziły mu przed oczy jakieś dziwne, czarno ubrane kobiety, przesunął się także za nimi i Karol uśmiechając się do niego dobrotliwie. Za nimi jechała karetka czterokonna, a furman miał bat tak długi, aż nim do jego głowy dostawał.

Nad ranem ustąpiły te sny ponure i ciemne, a nadeszły jasne, pogodne. Śniło mu się, że przechodzi przez różne rangi, jakby po szczeblach drabiny Jakubowej, i dostaje się w końcu do samego nieba!

Zebrał się szybko i wyszedł na ulicę. Na ulicy spotkał mężczyznę wysokiego wzrostu, o barkach na przód pochylonych. Pozdrowił go poufale, uściśnął rękę po przyjacielsku i rzekł:

— Dobrze, że cię widzę. Mam dla ciebie ważny interes. Ufam, że mnie nie zawiedziesz!

— Słucham z uwagą, bo prawdę powiedziawszy, zaczynam się tu strasznie nudzić.

— Dam ci rozrywkę. Przed tygodniem przyjechały tutaj trzy kobiety. Jedna z nich jest młoda i bardzo ładna. Karetka czy raczej powóz ciemno-szafirowy. Konie gniade cztery. Dowiedz się o tem.

— Cóż w tem jest osobliwego, że jakieś kobiety do miasta przyjechały?

— W drodze widziano je siedzące nad Bugiem i płaczące.

— I w tem nie widzę nic tak strasznie dziwnego! Kobiety płaczą i śmieją się, kiedy zechcą.

— Jesteś naiwny mój drogi! Jeżeli u nas kobieta płacze, to zawsze jest w tem coś ciekawego.

— A tak... rozumiem! Jeżeli piękna kobieta płacze...

I rozśmiał się wysoki, z pochylonemi barkami mężczyzna. Komisarz patrzył na niego czas niejaki przenikliwym swoim wzrokiem, potem nagle odwrócił się i zawołał:

— A więc do zobaczenia!

I obaj rozeszli się, jeden w prawą, drugi w lewą stronę.

VIII.

Po rozmowie z komisarzem było Karolowi dosyć lekko na sercu. Widział grożące niebezpieczeństwo i szczęśliwie

ominął je. Wypowiadawszy się raz ostatni był pewny, że już mu włos z głowy nie spadnie. Wesoło więc szedł po sterczących kamieniach bruku warszawskiego, który mu się w tej chwili wydawał tak równym i miękkim, jak piasek na puszczy Saharze.

Po niejakiem jednak czasie zaczął coś w głębi duszy uczuwać jakby wyrzuty sumienia. Zdawało mu się, że źle uczynił, iż drzemiące na dnie serca uczucie sprofanował publicznem wyznaniem... Ale Warszawa nie pozwala na długie monologi z samym sobą. Ten cię trąci, tamten na drugą stronę obróci, a z dwóch stron wołają na raz dwaj dorożkarze, abyś się im jak najprędzej ustąpił. Prócz tego szelesce koło ciebie nadzwyczaj zgrabna suknia, przed tobą bieje się prześliczny na pół przezroczysty kapelusik, a śmiejące się z pod niego oczy przykuwają cię nagle do chropawych kamieni.

Wobec tego wszystkiego przycichło sumienie Karola, a za to rozbudziła się znowu ciekawość, aby tę piękną nieznajomą koniecznie gdzieś wynaleźć.

Chodził więc znowu przez jeden dzień, drugi i trzeci po wszystkich publicznych promenadach i zabawach, chodził do teatru, na koncerty i sztuki łamane, a nawet na Nalewkach odwiedził budę z figurami.

Nigdzie a nigdzie nie spotkał nieznajomej! I zapytał sam siebie w duchu:

— Cóż to się znaczy, aby młoda kobieta, przyjechawszy do Warszawy znikła gdzieś bez śladu? Aby ani rusz nie okazała wdzięków i toalety swojej ani w pierwszopiętrowych łóżach teatru, ani na aksamitnej, koncertowej kanapie? Cóż to za dziwna kobieta, która nie wyjdzie ani do ogrodu Saskiego, ani w Łazienkach przy amfiteatrze nie pokaże się? Czy wstąpiła do klasztoru, czy się rozchorowała?...

Przez kilka dni zadawał sobie takie zapytania i nigdy na nie nie mógł odpowiedzieć. Wreszcie jak każde w połowie poczęte uczucie bez dalszego podsycenia osłabnąć a w końcu nawet i przycichnąć musi, tak też i gorące pragnienie Karola ochłodziło się zwolna i przeszło w jakiś sen dziwnie przyjemny!

Powoli więc zaczął się Karol godzić z życiem rzeczywistem. Przypomniawszy sobie reagenta i pułkownika, i postanowił odwiedzić ich przy najbliższej okazji. Dlaczego zaś tego zaraz nie uczynił, nie umiał sobie zdać sprawy.

Jedyną jego przyjemnością było teraz przeleżeć na sofie dwie poobiedne godziny. W tych zazwyczaj godzinach odzywał się z przeciwnej strony kurytarza hotelowego cichy, przytłumiony głos fortepianu, który wielce był podobny do harfy eolskiej. Nie był to głos strun stalowych, ale jakiś cichy szept liści zwiedłych i traw spalonych skwarem słońca, albo niepewny szmer oddalonego strumyka. Prawdopodobnie głos ten przemykał się przez kilka pokoiów i dlatego tak dziwne na Karolu sprawiał wrażenie. Albo może wyobraźnia Karola była tak dziwnie nastrojona?

W tych to godzinach czuł się Karol napół szczęśliwym. Oddalone tony fortepianu budziły w nim przybladłe wspomnienie o pięknej nieznajomej, którą widział nad brzegiem Bugu. Wtedy puszczał wodze wyobraźni i snił o niej cudowne rzeczy. Widział ją przed sobą, patrzył w jej duże, czarne oczy, a nawet słyszał z ust jej jakieś słodkie słowa...

Otóż w jednej z tych godzin poobiednych zapukał ktoś do drzwi Karola.

— A niechże cię nie znam! — zawołał w progu rejent Ambroży, co też ty wyrabiasz! Już to Warszawka dla was jest tem, czem lep na muchy. Jak raz skrzydełkiem muśnie o niego, już jej nie odczepić!... A niech cię święty twój patron (o którym w aktach watykańskich nic nie wiedzą) nie wypuszcza z swojej opieki. Powiedźże mi...

Karol zerwał się na równe nogi, uściśkał rejenta i mocno się zarumienił, bo właściwie na słowa jego nie a nie nie mógł mu odpowiedzieć. Wobec człowieka przyzwyczajonego do życia realnego, śmiesznem wydawało się Karolowi, aby mu to wszystko opowiedzieć, co przez ten tydzień czuł i marzył w Warszawie i o czem z komisarzem cyrkułu rozmawiał. Postanowił więc zachować to wszystko dla siebie, a dla rejenta okazać twarz inną.

— Ach kochany panie rejencie — zawołał uściśnawszy go po raz wtóry—nie uwierzysz, ile to czasu ta Warszawa pożera! Za każdym krokiem człowiek się zatrzyma, bo jakiś interes się znajdzie. A zresztą wiesz panie Ambroży, że dla nas mieszkających na wsi, jest Warszawa straszną. Zaledwie pół roku jak byłem w Warszawie, a już widzę, że w ubraniu mojem jestem o wiek cały zacofany. Trzeba więc jakoś zassymilować się z mieszkańcami, aby zaudać od nich nie odbijać. Dałem więc tużurek uciąć, a że kapelusza nie można było nadsztukować, to musiałem za nowym się oglądać. I tak jedno z drugim zabrało mi kilka dni czasu, inaczej byłbym natychmiast pospieszył...

Rejent patrzył z uśmiechem na Karola, który wyraźnie zdawał się mówić:

— Już mnie starego lisa w pole nie wywiedziesz! Wiem ja dla czego tak długo nie okazałeś się. Zwiertżyłeś pismo nosem, co ojciec do mnie pisał, i chcesz się rzucić w modne ubranie, aby odrazu jedynaczkę ubić!...

Po chwili przeszedł się rejent kilka razy po pokoju, a włożywszy ręce do kieszeni ozwał się do Karola:

— Gdybyś mnie był dla braku afektu nie odwiedził, nie dziwiłbym się wcale. Wy tam dzisiaj w żaden afekt nie wierzycie. Ale dziwi mnie to, że nie zapytałeś się, jakie pieniądze przysłał ojciec na moje ręce! Przecież mieszkając w Warszawie, jest to rzeczą ciekawą, wiele pieniędzy można w niej wydać.

— Ach panie Ambroży — odparł śmiejąc się Karol — to właśnie mówi na moją korzyść. Najprzód kontentowałem się tem, co miałem przy sobie, a powtóre tyle ufałem za-

enemu panu Ambrożemu, że złożone w jego rękach pieniądze uważałem jak depozyt w żelaznej skrzyni.

— I nie omylisz się wcale kochany Karolu, jeżeli nie tylko pieniądze, ale nawet całe szczęście twoje w moje ręce złożysz. Kocham ciebie jak rodzzonego syna.

Karol uściśkał pocziwego rejenta, chociaż słów jego zupełnie nie zrozumiał. Rejent zaś ugryzł się w język i gniewał się na siebie, że może zaudać wiele wygadał.

Po niejakić chwili, przeszedłszy w rozmowie do rzeczy obojętnych, ozwał się od niechcenia:

— Ale, żebym nie zapomniał. Jutro będzie u mnie kilku znajomych. Jeżeli nie masz pójść gdzie indziej, to wstąp na szklanę herbaty. A może tej fatygi nie pożałujesz.

I uderzył się znowu po ustach stary rejent, jakby za wiele powiedział. Karol uśmiechnął się dosyć ironicznie, ale obiecał przyjść na wieczorek.

IX.

Stary rejent lubił żyć dobrze ale spokojnie. Przy miodowej ulicy na drugim piąterku miał wcale ładne a nawet z pewnym komfortem urządzone mieszkanko. Wprawdzie większa część pomieszkania była tylko konieczną koncesją dla zwyczajów warszawskich. Potrzeba się było stosować do równych sobie pozycją towarzyską, a ci wszyscy lubili pewną ostentację. Więc i rejent stary miał pięć pokoi, dosyć ładny salon i mały balkonik z widokiem na ulicę. Zazwyczaj, będąc bezdietnym, zajmował tylko ze swoją żoną dwa pokoiki, a trzeci przeznaczony był na prywatną kancelaryę. Reszta pokoi była prawie zawsze zamknięta, a w zimie nawet nie opalana. Wyjątek tylko stanowiły środy w każdym tygodniu. Zwyczajem warszawskim, od którego najbiedniejszy mieszkaniec uwolnić się nie może, był to dzień wieczornych zebrań u państwa Rejentostwa, na których bawiono się przyjacielską, pogadanką przeplataną wiadomościami zagranicznymi.

Towarzystwo, które się tam zazwyczaj zbierało, nie było nader ciekawe. Kilku emerytów, drugie tyle emerytek, trzech rejentów, dwóch adwokatów i jeden mecenas—tworzyli cały personal takich wieczorów. Ponieważ w domu żadnej młodej kobiety ani panny nie było, to i z młodzieży rzadko kiedy który tam się zabłąkał.

Dzisiaj jednak była środa wyjątkowa. Również wyjątkowo użyto wielkiego salonu na miejsce zebrania. Poza stawiano rzesisto kandelabry i lampy. Dwa inne pokoje w amfiladzie oświecono również. Słowem, u państwa rejentostwa była dzisiaj uroczystość niezwykła.

O ósmej godzinie byli już wszyscy zgromadzeni, jak na przyzwoitych emerytów przystało. W pół godziny później, wyjątkowo, przybyły jeszcze dwie damy. Jedna z nich była osoba stateczna o fałdziej sukni z grubej, jedwabnej materii, druga stanowiła bardzo ładny i dobrze dobrany

kontrast. Miała na sobie sukienkę z tak wiotkiej i przezroczystej tkaniny, że podobną była więcej do mglistego widma z ilustracji Dorego niżeli do śmiertelnej kobiety. I wszystko w niej odpowiadało tej szczęśliwie pomyślanej toalecie. Cera jej twarzy była lśniąco przezroczysta, czarne wilgocią błyszczące oczy były bez dna, jak głębie morza. Można było przez te oczy patrzeć gdzieś głęboko i daleko, w jakieś dziwne, nieznane światy... Wyraz twarzy melancholijny z lekkim, ironicznym rysem koło ust, do rozwiniętej dopiero róży podobnych. Usta te były prawie zawsze, jakby z pragnienia napół otwarte i okazywały dwa rzędy najpiękniejszych, jak kość słoniowa białych ząbków. Dodajmy do tego włos ciemny, w poetycznym nieładzie po kształtnej główce rozrzucony, a będziemy mieli przed oczami istny portret jednego z Rafaelowskich aniołków, którzy oparci o okno niebieskie, tak dziwnie uroczą na nas, śmiertelnych ludzi spoglądają.

— Któż to taki? — zapytał jeden emeryt drugiego, częstując go za to zapytanie hiszpańską tabaczką.

— Jakto? Nieznasz pan? — odpowiedział zapytany biorąc za karę aż dwie szczypty z tabakierki — to przecież nie godzi się, bywać co środę u reagenta i nieznac jego rodzonej siostry z ładną córeczką!

I w szlachetnym gniewie sięgnął jeszcze po trzecią szczyptę, ale tabakierkę zastał już zamkniętą.

— To siostra reagenta? — powtórzył zdziwiony emeryt nakrywając tabakierkę chustką — nigdy jej nie widziałem!

— Niebawem zbyt często u siebie. Cóż bowiem u reagenta robić z młodą panną na wydaniu? Pan stary, ja stary, Piotr stary, a Michał jeszcze starszy!... Ale za to zaglądniij kiedy do mecenasa Andrzeja, gdzie to cały pułk młodych patronów i obrońców się zbiera, to obaczysz tam zawsze pannę, jak za pasową firanką we framudze okna siedzi i jednemu po drugim audjencje daje! Napatrzyś się tam pociesznych rzeczy, jak jedni z niebiańskim uśmiechem a inni z nosami na kwintę spuszczonei odchodzą! A gdy północ minie, to zmieniają się role jakby cudem. Nosy spuszczone na kwintę podnoszą się do góry, a twarze dotąd uśmiechnięte przedłużają się w duże francuskie O. Jest to panna sprytna, rozumna, a nawet mówią że bardzo dobra.

— I do tego posessya pod dwoma numerami z placem w tyle do budowania!

— Tak, tak! Gdybyś pan nie był łysy i trochę zbakierowany, posadziłbym pana o zbytne interesowanie się hipoteką.

— Daj pan tabaki... tylko nie żałuj pan! Zasłużyłeś na to, aby ci wyżyć pół tabakierki.

Na tem skończyła się rozmowa tycząca się dwóch dam przybyłych, które właśnie teraz szukały miejsca dla siebie. Starszej ustąpiono ćwierć miejsca na kanapie, a młodsza rzuciwszy okiem na tapety salonu posunęła fotel

do framugi okna, przy którym wisiały firanki jasno orzechowego koloru.

— Pani powinnaś być artystką — zagadnął młody, żonaty adwokat-obrońca — byłby z pani znakomity malarz! Pani umiesz zawsze tak sięgać, żeby i artysta do portretu inaczej nie posadził.

— Jaki pan skromny jesteś — odpowiedziała panna Michalina — czyż to nie słyniesz pan także jako wyborny artysta?

— Ja artysta? Uchowaj Boże! Nigdy nie grzeszyłem podobną zarozumiałością.

— Jakto, a przecież pan nim jesteś. Taka przynajmniej jest opinia świata o panu.

Adwokat wziął swoje krzesło i zbliżył się z niem do Michaliny.

— Jesteś pan ciekawy — mówiła dalej z uszmięszkiem dowcipnym Michalina — zaraz ciekawość pana zaspokoję. Jeżeli na przykład jaki klient do pana przyjdzie, czy nie umiesz pan sięgać naprzeciw niego w takiej pozycji, że on już na pewne w swoją wygraną wierzy? Czy nie umiesz pan zgrabnie odsłonić czoło swoje... dosyć... dosyć szerokie, aby klientowi okazać, że tam w komplecie zgromadzone są wszystkie paragrafy kodeksu. A co nie jesteś pan artystą? Jeżeli panowie w swoim charakterze staracie się pozować jak najkorzystniej, dla czegoż bierzecie za złe kobietom, jeżeli na to siada przy tych orzechowych firankach, aby odrobina jej wdzięków nie przepadła na tle tych nieznosnych liliowych tapetów.

— Masz pani słuszość — odparł adwokat cofając się z krzesłem — stosunki nasze są jasne i przyjaźne.

Michalina podała adwokatowi drobną rączkę, którą tenże z submisją ucałował.

Z niemałym zadziwieniem emerytów wszedł o dziewiątej godzinie gość nowy.

Był to mężczyzna słusznego wzrostu, w czarnym fraku z białą chustką na szyi. Miał lat około trzydziestu.

— A patron nasz! Co się stało! Popiołem nogi posypać! — zawołał reagent biegnąc do progu.

Młody patron uklonił się wszystkim emerytom i emerytkom i rzekł do reagenta:

— Przyznam się, że sam nie wiem, jakim sposobem nieproszony tutaj wszedłem.

— Ależbo z pana wielko-światowiec! U nas w sądzie tylko potrzeba formalności, a między sędziami to się i bez nich obejdzie! Zpraszanego wieczoru u nas nie ma, a kto rad, ten o nas zawadzi!

— Jednak tyle światła u pana reagenta... to mnie naprowadzało na różne domysły, a nawet przyznam się, że nie mogąc się niczego pewnego domyślić, byłem już prawie w rozpacz (tu spojrzął patron do framugi okna), i choć właściwie wybrałem się gdzieindziej, toż mimowoli zaniosły mnie nogi moje —

— Dziękujemy i za to — odparł rejent — mówią: głodnym i chleb razowy smakuje.

Patron nie mógł tego dziwnego frazesu odgadnąć i prawdopodobnie o to mu wcale nie chodziło. Po bliższem przywitaniu się z emerytami, posunął wprost do framugi, a skłoniwszy się Michalinie usiadł przy niej.

Michalina miała na ustach uśmiech dziwny, nieodgadniony. Patron silił się rozwikłać ten uśmiech w jakąś formułkę zrozumiałą, ale w żaden sposób nie mógł tego dokonać. Było to coś wcale nowego dla niego.

— Dzisiejsza środa — ozwał się patron, bawiąc się brylokami — jest w całym znaczeniu tego słowa dla mnie wyjątkową. Nawet w tej chwili, gdy tutaj siedzę i na panią patrzę...

Michalina na to nic nie odpowiedziała, tylko z lekkim kaprysykiem usta do góry podniosła.

— Zdaje mi się — szepnął jeden emeryt do sąsiada — że patron coś koło Michalinki się kręci.

— To jest rzecz wcale nie nowa! — odparł zapytany — I dawno byłoby to już do skutku przyszło, gdyby patron nie był strasznym kunktatorem. Panna jest zdecydowana, jak to sama matka mówi, ale od patrona trudno o skrajne słowo. Coś mu tam jeszcze do jego formalności brakuje, i na to dotąd czeka.

— Czy formalności względem hipoteki? Czy może formalność jaka względem sentymentu...

Rozmowę emerytów przerwano w tej chwili. Za to ciągnęła się dalej rozmowa we framudze okna.

— Najprzód — mówiła Michalina — powiedz mi pan, w czym cała dzisiejsza środa jest dniem wyjątkowym?

— Krótko pani całą rzecz zreasumuję — odparł patron poprawiając kołnierzyka — Zaraz z rana powiedziano mi, że wygrałem na loleryi kilkadziesiąt rubli, co mnie się dotąd nigdy nie przytrafiło.

— To źle, to bardzo źle! To jakaś wielka, niepowetowana strata grozi panu! Tak przynajmniej mówią.

— Przegrałem zaraz w trzy godziny potem proces, o którym byłem przekonany, że go wygram.

— To słaby konduktor nieszczęścia. Nie możesz pan być jeszcze zupełnie spokojny!

— Byłem pewny, że pani będziesz dzisiaj u mecenasa. Biegne, stary mecenas całuje mnie z radości, bo pięć jeszcze starszych mecenasowych nie miało żadnego męzkiego towarzystwa, sadzają mnie na kanapę...

— Ręczę panu, że byłbyś się pan lepiej ubawił, niżeli tutaj w towarzystwie emerytek.

Na te słowa odpowiedział patron nadzwyczaj tkliwem spojrzeniem, pomilczał chwilę i mówił dalej:

— Potrzeba było na to całej mojej przebiegłości, aby się z takiej łapki wyśliznąć. Co i jak zrobiłem już nie pamiętam, ale to wiem, że za kwadrans byłem już u pani majorowej, która z wielką rokoszą sadzała mnie na olbrzy-

mi, lakierowanym płótnem obity fotel. W salonie, prócz kilku zacnych matron, nikogo nie było. Ta łapka była jeszcze gorszą.

— Mój Boże! To było istne polowanie z przeszkodami. *Steeple chase*, jak mówią wyścigowcy.

— U majorowej przyłożyłem po prostu chustkę do nosa i udałem, że mi krew idzie. Za to kłamstwo zostałem so-wicie ukarany. Wylano mi na głowę i na kark pięć butelek wody kolońskiej, flaszeczkę anodynu i pstryknięto mi dwa razy w twarz spirytusem kamforowym. Wszystko to zniosłem heroicznie i wymknąłem się czem prędzej...

— Dziwiła mnie ta szczególna mieszanina perfum, która zaleciała mnie przy wejściu pana —

— Chodziłem dobrą pół godzinę z odkrytą głową po ulicy, bo inaczej byłbym tutaj wszystkich pozabijał.

— I na tem skończyła się cała wyjątkowość dzisiejszej środy? — zapytała po chwili Michalina.

— Nie, pani. Najważniejsza rzecz następuje dopiero teraz... Widzę panią i widzę z jakimś wyjątkowym wyrazem na twarzy.

Michalina pomyślała chwilkę, pobawiła się trochę wachlarzykiem i odparła z tym samym zagadkowym uśmiechem.

— Czasami dobrze jest mieć wyjątkowe usposobienie, jeżeli zwyczajne na nic się nie przyda.

W tej chwili zbliżył się wraz z swoim fotelem naczelnik kancelaryi z izby obrachunkowej i ozwał się do Michaliny:

— Co też pani przenosisz? Czy wieś czy miasto, *nota bene* stołeczne!

Patron uśmiechnął się, jakby już naprzód wiedział odpowiedź Michaliny. Michalina odpowiedziała z całą powagą:

— Pytasz pan co wolę, czy wieś czy stolicę? Zawsze miałam pociąg do wsi i zawsze o niej marzę jak o najwyższem szczęściu mojem. Umówiliśmy się nawet z mamą, że interesa nasze tak urządzimy, abyśmy mogli —

— Na wsi mieszkać! — dokończył naczelnik — Pochwalam wybór pani. Śród natury człowiek się nawet lepszym staje.

— A tak! Wobrażam sobie ten zachód słońca, krówki wracające z pola, świegotanie ptactwa, śpiew robotników... a cóż tu? Nieznośne koncerty, ogród saski pełen kurzu, plotki i obmowy... Nie, ja na wieś pójdę!

Patrona ścisnęło coś nagle za krtani. Poprawił kołnierzyka, rozszerzył węzeł białej chustki, ale nic nie pomogło. Za gardło jak trzyma tak trzyma!... Jakto? Michalina wręcz i otwarcie mu powiada, że do Warszawy za mąż by nie poszła, a więc daje mu wprost do poznania... Cóż to się jej dzisiaj stało? Dopiero wczoraj była zupełnie inną. Dopiero wczoraj z takim afektem była dla niego, że potrzebował tylko skrajne słowo powiedzieć...

W tej chwili wybił zegar nad kominkiem pół do dziesiątej, a we drzwiach ukazał się — Karol.

X.

Na widok nowego gościa rozległ się pomiędzy emerytami szmer powszechny niezadowolenia.

— Oto masz dzisiejszą młodzież! — rzekł pan Piotr do pana Pawła — O pół do dziesiątej przychodzi na wieczór! Iniechże teraz wszyscy z kolacją czekają na niego. Za godzinę człowiek chciałby być już w łóżku.

— Apryznam się panie Piotrze — odparł pan Paweł — że tak młodo jakoś siedzieć po filiżance herbaty. Po kieliszeczku węgryzna to człowiekowi jaśniejsze niebo i koncepta same idą na usta.

Nie spodziewał się Karol, jak niekorzystnie sprawił wrażenie między starszymi. Po części też i zasłużył sobie na to. Zaproszenie bowiem na wieczorek do reagenta dosyć sobie lekceważył — nie dla braku afektu, jaki miał dla krewnego, ale po prostu dla braku zabawy jego usposobieniu odpowiedniej. O pannie Michalinie nic a nic nie wiedział, ani też nie spodziewał się tutaj zastać jakie młodsze towarzystwo. A ponieważ dzisiaj w Wielkim teatrze dawano operę, a na operze miał nadzieję obaczyć swoją

nieznajomą, poszedł więc na pierwsze dwa akty w tem przekonaniu, że na wieczorek emerytów jeszcze zawsze zdąży.

Tymczasem zaraz w progu, rzuciwszy okiem w koło, spostrzegł, że to nie jest zwykła środa, że stary rejent

uważał sam ten dzień za wyjątkowy, jeżeli aż trzy pokoje tak rzęsiście oświecił. Obaczywszy do tego we framudze okna na tle jasno-orzechowych franek pannę Michalinę, przeczuł instynktem, że tu ma on odegrać jakąś ważniejszą rolę, niżeli się przed chwilą spodziewał

Stary rejent powiedział mu na wstępie pater noster za opóźnienie a potem zaczął go przedstawiać.

Już to dla samej grzeczności dla dam kierował Karol kroki swoje do pięknej Michaliny, ale gospodarz uszanował pierwszej starszych swoich gości i kolegów, a dopiero na samym ostatku zapoznał go z patronem i Michaliną, przy której go też zostawił i własnemu prze-mysłowi oddał.

Jakkolwiek Karol już na samym początku instyn-

ktem przeczuł, o co właściwie chodzi, przypomniawszy jednak sobie kilka rzuconych słówek przez starego reagenta, gdy go wczoraj w hotelu odwiedzał, był już na pewno przekonany, że owa panna Michalina, prawdopodobnie za własnem przyzwoleniem, jest do uzupełnienia jego roli wybrana.



ŻYDZI MODLĄCY SIĘ. (str. 60).

Poznawszy tę grę pocziwego rejenta uśmiechnął się Karol jak stary wróbel, który siadł obaczyć. I spojrzął na te piękne sidelka... ale nie spojrzął z drzeniem serca i z bojaźnią w duszy, jak się zazwyczaj na upragnioną a niepewną jeszcze w rezultacie istotę patrzy, ale spojrzął z pewną zarozumiałością i pewnością siebie, jakby tylko ostatnie słowo od niego zależało.

Widział to patron i zbladł ze strachu. Jeszcze gorzej chwyciło go coś za gardło, że ani słowa nie mógł wydobyć. I on odgadł ukartowany plan rejenta. To niezwykle oświetlenie, ta rozrzutność w herbacie i cukrach, to niezwykle ugrupowanie gości, te dwa niezwykle dzisiaj błyszczące nosy pana Pawła i pana Piotra... wszystko to razem wzięwszy oznaczało coś niezwykłego, co wianieczkowi panny Michaliny strasznie zagrażało.

I zaczął wyrzucać sobie biedny patron swoją opieszałość, przeklinał, że zwyczaj swój częstych delacyi z trybunału przeniósł w dziedzinę miłości, i o mało sam siebie na baty nie skazał, gdyby tylko taki wyrok mógł mu co pomódz.

Smutny i rozstrojony odszedł do drugiej framugi okna nie mogąc sobie przebaczyć, że czas dla niego korzystny stracił na kunktatorstwie, że drugiemu odstąpić teraz musiał pola, na którym był już prawie zwycięzcą. Przypomniawszy sobie teraz ostatnie zdanie Michaliny, która wyraźnie powiedziała, że tylko wieś lubi, że na wsi mieszkać będzie. Otóż wsi tej dostarczy pan Karol, i do tego wsi w pięknej romantycznej okolicy nad Bugiem.

Tak rozumował i dumał sobie patron. Na innem zupełnie polu stał Karol. Stał przed panną Michaliną, o której już był uprzedzony, że dla niego tutaj przyszła, dla niego wzięła na siebie te wiotkie, powiewne szaty, dla niego kunsztownie porozstrzępiała sobie włosy i nawet dla niego, jakby w konfesyjonale, zasiadła w tej framudze. O patronie na razie zapomniawszy. Znikł mu z oczu i więcej już o niego się nie troszczył.

Szukał po głowie przedmiotu do rozmowy a był pewny, że jakibądź przedmiot podejmie, odpowiedzi panny Michaliny będą mu nader przychylne i wszystko obiecujące. Z pewnem lekceważeniem usiadł na krześle i zapytał:

— Pani zapewne stale w Warszawie mieszka. Warszawa jest nader przyjemne miasto.

— Osobliwie dla mnie jest nader przyjemną. Wychowałam się tu, każda ulica jest mi znana.

— Ale przecież, choćby tak dla rozmaitości, nie zapragnęłaś pani wiejskiego ustronia?

— Przenigdy! Szczepnie wyznaję panu, że nie rozumiem, co to jest wzdychać za wsią.

Karol zakąsił usta i pomilczał chwilę. Spojrzawszy na nią z większą uwagą i uznał, że była nader piękną.

— Jakto? Pani wsi nie lubisz? Nie lubisz pani tej pięknej, swobodnej natury, która nas miłością ogarnia?...

— Mówię panu, że nie mam wyobrażenia, jak można wyżyć na wsi, gdzie prócz zielonych gałązek, obdartych chałup i kilkunastu chłopów w siermięgach nic a nic innego widzieć nie można. Wieś jest bardzo ładna ale w idyli, albo na scenie teatralnej, mianowicie w operze.

Zadziwienie Karola rosło coraz więcej. Cóż się to znaczy? Czy panna daje mu tym sposobem do poznania, że wcale niech o niej nie myśli? A przecież miało być inaczej... Obejrzał jeszcze raz jej twarz, oczy, ręce—wszystko znamionowało niepoślednią piękność... w rzeczy samej, daleko była piękniejszą, niżeli to sobie zrazu wyobrażał, mogłaby nawet bez zawstydzenia stanąć obok jego nieznanego...

— Pani zapewne żartujesz sobie. Jak to może być, aby kobieta, przystępniejsza więcej dla poezji, nie lubiła wsi, gdzie właśnie mieszka poezja? Nie, temu nie wierzę, choć byś to pani jeszcze raz powtórzyła.

A tymczasem wzdychał patron w drugiej framudze i myślał sobie: O przyjemnościach wsi mówi, to woda na jej młyn. W to jej graj. Każda Warszawianka wzdycha do wsi, bo wieś to znaczy: ekwipaż, liberja, pałac i zaszczytne sąsiedztwa. Opowiada jej zapewne, jak tam u niego nad Bugiem!

Michalina poprawiła się na krześle, złożyła swoje ładne usteczka do uśmiechu i rzekła:

— Tak mało pan mię znasz, a już zaczynasz mi nie wierzyć. Cóżby to było na czas dłuższy? Zaręczam panu, że mówię prawdę. Wiem o tem, że kobiety lubią poetyczne pozy i wiele prawią o sielskich przyjemnościach, choć o nich nigdy nie myślą. Ja jestem szczerą i otwartą. Wsi nie lubię i mam od niej formalny wstręt. Dlaczego i na co? z tego się panu wytłumaczyć nie umiem i nie mogę.

Nie mógł już dłużej wytrzymać patron w drugiej framudze. Zbliżył się do mówiących i rzekł z ironią:

— Tak, tak! Rozmawiacie sobie państwo o przyjemnościach wiejskich. I jabym umiał o nich rozmawiać, gdybym miał wieś o tysiącu morgów, choćby nawet tylko podlaskiej ziemi.

— Szkoda wielka, że pan nie masz — szepnęła Michalina, i zaczęła swój wachlarzyk starannie oglądać.

W samą porę zaprosił teraz gospodarz wszystkich na kolację.

XI.

Późno, bardzo późno wrócił Karol do hotelu. Był mocno zamyślony. Zaświecił świecę i zaczął chodzić po pokoju. Czasami marszczył czoło, a czasami uśmiechał się, jakby do przyjemnych myśli swoich.

Prawdopodobnie piękna Michalina stała mu teraz przed oczyma z tym dziwnym nieodgadnionym uśmiechem.

Jestto stara prawda, że największe niebezpieczeństwo grozi sercu — zawiedzionemu. Bolesć zawodu jakoś sze-

rzej otwiera to serce i pozwala wejść tam pierwszej lepszej istotce o powiewnej szacie i dużych, czarnych oczach. Jestto, mówią, jedyny środek na taką ranę, środek bardzo często i skutecznie praktykowany. Być więc może, że i Karol myślał o podobnym środku, bo i on zaczynał wierzyć w swój zawód.

Wprawdzie mógł jeszcze spotkać gdzie swoją piękną nieznajomą, mógł zbliżyć się do jej serca i usłyszyć jak ono bije... ale dotąd było to marzeniem daremne i Bóg wie czy niem na zawsze nie zostanie.

Na miejsce tego marzenia, które przy zimniejszej rozwadze nawet na śmieszne zakrawało, stanęła przed nim rzeczywistość w pięknej osobie panny Michaliny, prawdopodobnej właścicielki posessyi o dwóch numerach.

Była to i rzeczywistość i poezya zarazem, tak jak ją chcą ludzie doświadczeni. Rzeczywistością była posessya o dwóch numerach z placem obszernym do budowania, a istną poezją była Michalina, poezją tem prawdziwszą, im więcej się jej wypierała. I w samej rzeczy panna Michalina miała jakiś urok nieodgadniony. Nie chciała się bynajmniej przyznać do wyższych pragnień duszy i serca, nie chciała ani na chwilę przybrać pozy poetycznej choćby tylko dla różnaitości... a jednak jedno spojrzenie jej, jeden prawie nieznaczny, melancholijny uśmiech jej usteczek blado różowych okazywał dosyć jasno, że tam pod zimnem niby słowem wre dusza gorąca, chciwa wysokich, orlich lotów... ukrywa się głębokie, porywające uczucie.

Tak myślał sobie Karol, ale nie mógł się jeszcze z sobą zupełnie pogodzić. Czegoś mu jeszcze nie dostaowało. Widmo młodej, płaczącej kobiety stało przed jego oczyma w zbyt idealnych zarysach, a postaci panny Michaliny, jakkolwiek ze wszech miar pięknej i ponętnej, brakowało jednak coś, czego w żaden sposób nazwać nie umiał.

I tak dosyć długo kłopotał się z tem najświeższem wrażeniem swoim, nie wiedząc gdzie je ma ulokować. Czy zawiesić po prostu na ścianach pamięci i tam oddać powolnie osiadającemu pyłowi na pastwę, czy umieścić gdzieś w zakątku serca, gdzieby się częściej przypominało?

Wrażenia nasze są dziwnej natury. Niejedna rzecz weszłaby nam snadniej do duszy, gdyby małe nie znaczące akcesoryja temu nie przeszkadzały. Ktoś naprzykład zawiesi obraz w złem świetle. Obraz nam się wcale nie podoba. Tymczasem światło się zmienia, przychodzi drugi i zachwycia się obrazem. I my sami bylibyśmy w stanie nim się zachwycić. Czyż obraz ten nie był tym samym znakomitym obrazem, gdyśmy go po raz pierwszy widzieli? Czemuż wtedy bylibyśmy ślepi na jego zalety, na jego bogactwa?

W podobnem położeniu był Karol. Nie mógł dobrze nazwać różnicę, jaka była między temi dwiema kobietami. Jedną oglądał długo i z uwagą. Widział w niej wszystko,

co oko widzieć mogło. Drugą widział tylko w oddali. Jak sen jaki złudny przesunęła mu się po przed oczy i znikła. A przecież za nią rwało się serce, rwała się dusza.

Cóż może być powodem tych dwóch, tak odmiennych wrażeń?

Mówią, że gdzieś w północnych stronach ma być wiele żelaza. Dla tego igła magnesowa zawsze kieruje się ku północy... Miałaby nieznajoma w duszy swojej mieć tak wielkie bogactwa, że ją serce jego przeczuło i teraz mimowoli ku nim ciąży?

Mówią znowu, że zazwyczaj to nas tylko za sobą pociąga, co jest niewyraźne, nieodgadnione. Wyobraźnia nasza rada wtedy uzupełnia luki rzeczywistości, a zapełnia je tak, jak serce sobie życzy. Czyż nieznajoma młoda kobieta miałaby być podobną do tej nieuchwyconej nigdy fata morgany, za którą daremnie po szerokim oceanie ugania żeglarz złudzony?...

I coraz chłodniej zaczął się Karol obliczać z sercem swoim. Miał już na tyle doświadczenia, aby tego, czem się przez cały tydzień karmił, nie brać za co innego, jak tylko za krótkie, słodkie marzenie. A gdy się jeszcze bliżej tym marzeniom przypatrzył, uznał je wprost za nieprawdopodobne.

Do podobnego zwrotu miał jeszcze jeden powód. Michalina była piękna i bardzo mogła się podobać. Przy dłuższej rozmowie poznał, że ma piękne wykształcenie i do tego rozum niepospolity. Ale zarazem także poznał, że nie tak łatwe było nad nią zwycięstwo, i że w patronie miał dosyć szczęśliwego adwersarza. Były nawet chwile, w których widocznie szala zwycięstwa przechylała się na jego stronę...

Ta myśl, ta obawa rozbudziła w jego sercu tem większą ochotę do walki. Jeżeli na seryo chciał z dzisiejszej nowej znajomości korzystać, to nie było czasu do stracenia na próżne, choćby nawet najśłodsze marzenia. A przecież owa piękna nieznajoma należała tylko do marzeń.

Takie były w tej chwili myśli i uczucia Karola, które zaprzętały całą jego duszę.

I już na tle zblakłych marzeń zaczęła coraz wyraźniej rysować się ponętna rzeczywistość; już mglista i eteryczna postać pięknej nieznajomej zaczęła powoli przybierać rysy, twarz i oczy Michaliny; gdy nagle gdzieś jakby z niebieskich krain zabrzmiała cicha, melancholijna muzyka.

Był to głos tego samego fortepianu, który w godzinach poobiednych tyle złotych marzeń budził w jego duszy. Był to dźwięk tych samych strun przygłuszonych, który tyle uroku mieścił w sobie.

I w samej rzeczy w tej chwili o godzinie drugiej po północy, miały te dźwięki w sobie coś dziwnie demonicznego. Już samo oddalenie, gdzie się poczynają, i dziwne, nieodgadnione przestrzenie, przez które przechodzić musiały, odbierały im wszelką cechę ziemskiej muzyki. Zda-

wało się, że te tony spuszczają się z nieba po srebrnej nitce księżycy, lub jak drobne, brylantowe pyłki spadają z bożego przedsionku. Czasami znowu wydawało się słuchającemu, że one się w nim, w jego duszy rodzą.

Do tego akustycznego złudzenia trzeba jeszcze dodać ciszę północną, zwolna, z głuchym echem stającą straż uliczną, pojedyncze nawoływania szylwachów... a nade wszystko rozdrażnione tak wyjątkowym życiem nerwy Karola... a łatwo można sobie wyobrazić, jak dziwne sprawiło to na nim wrażenie.

Pierwszym skutkiem tego wrażenia było, że ponętne oczka Michaliny przygasły, obawa przed patronem okazała się płonną i niepotrzebną, a natomiast odżyła w całym swoim uroku piękna nieznajoma i przyniosła z sobą wszystkie te marzenia, które już za stracone uważała.

Rzecz zagubiona i znów odszukana ma większą wartość. Tak też stało się i z marzeniem o pięknej nieznajomej. Nigdy serce Karola tak żywo, tak przyjemnie nie biło, jak teraz.

Podparł ręką głowę i wciągał w siebie tę dziwną, niema skargę, którą szle gdzieś na wiatry jakaś dusza bolejąca. Któżby bowiem mógł grać o tej porze? Nie jest to ręka szczęśliwego człowieka, która o tej godzinie szuka po martwych strunach oddźwięku swoich marzeń lub cierpień!

Karol słuchał tych tonów i wiązał do nich tony własnej duszy swojej, która w tej chwili tyle mu mówiła. Widział w tej chwili ten jar nad Bugiem, tę młodą płaczącą kobietę, te dziwnie piękne oczy, które na niego spoglądała... widział ją potem milczącą gdzieś w oddali, niby w obłokach.

Wreszcie ustała gra i nastąpiła cisza grobowa.

I pasmo marzeń przerwało się nagle. Karol wstał i zbliżył się do okna.

Okno jego wychodziło na dziedziniec, który właśnie za jego mieszkaniem zaginał się w kąt prosty. Mógł więc wygodnie widzieć wszystkie okna sąsiednich mieszkań.

Wszystkie okna były ciemne. Dwa tylko miały światło wewnątrz, lecz były starannie białymi firankami zasłonięte. Karol pomyślał sobie, że prawdopodobnie z tych okien pochodziła ta czarująca muzyka.

I oparłszy się o framugę w zamyśleniu wpatrzył się w te jasne, dziwnie od innych odbijające okna. Ale wnet coś go niezwykle uderzyło... W jednym oknie obaczył wyraźną sylwetkę kobiety bardzo pięknego rysunku.

Sylwetka znikła a Karol patrzył i czekał, kiedy znowu wróci. Wszak zapewne była to ta sama kobieta, która grą swoją sprawiała mu tyle marzeń słodkich i budziła w duszy jego to, co tam już usnąć chciało...

Wyteżył oko, aby znowu ten wdzięczny profil pochwycić... ale sylwetki już nie było.

Za chwilę zjawiła się... ale zjawiła się nie sama. Był przy niej jakiś mężczyzna wyższy wzrostem... Trzymał ją za rękę i zdawał się z zajęciem w nią wpatrywać... Czy może mówił coś do niej...

Wreszcie znikły obie sylwetki. Karol doznał dziwnego wrażenia. Ta gra cieni na białej firance, to przecież jakiś ciekawy epizod życia ludzkiego. Czemuż ta kobieta grała o tak późnej godzinie? Któż jest ten mężczyzna, który ją trzymał za rękę i tak blisko twarz swoją do jej głowy nachylał?...

Obie sylwetki okazały się znowu, ale w drugim oknie. Przesunęły się po białym płótnie ręka w rękę, jakby na całe życie do siebie należeli. Nie, może właśnie przeciwnie? Może to tylko przelotne chwile, które z uderzeniem godziny kończą się i na wieki przepadają!

I dosyć regularnie, to w jednym, to w drugim oknie pojawiały się te dwie sylwetki. Widać było, że chodzili po pokoju i rozmawiali. Ona często podnosiła rękę do góry, jakby za coś grozić chciała.

Karol stał przy oknie i coraz smutniej było mu w duszy. Obraz tych dwóch złączonych razem sylwetek przypominał mu jego osamotnienie. Świeca stojąca na stole odbijała samotną jego postać na ścianie... W koło tej czarującej postaci nie było nawet ani jednego obrazka z tych złotych marzeń, których tak wiele wysnuł z duszy swojej. Były to tylko marzenia, a z marzeń nie odbija się żadna ładna sylwetka na pustych ścianach samotnej izby.

Karol westchnął i odszedł od okna. Z wieży wybiła godzina trzecia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ŻYDZI MODLĄCY SIĘ.

Pomiędzy najnowszymi utworami p. Fr. Tepy, które mieliśmy przyjemność oglądać niedawno na urządzanej przez samego artystę wystawie, ściągająca na siebie szczególnie uwagę znawców akwarela, przedstawiająca dwóch polskich żydów, starowierców, zajętych modlitwą. Zachęceni powszechnym uznaniem piękności tego utworu, a oraz pragnąc czytelnikom naszym nastęrczyć sposobność poznania jego, sporządziliśmy za przyzwoleniem autora drzeworytniczą kopię tej akwareli, i podajemy ją w niniejszym zeszycie „Strzechy“ — jako prawdziwą ozdobę naszego pisma. Wiecej nie potrzebujemy nic dodawać, bo co prawdziwie piękne, samo się zaleca.

KRONIKA.

Z kraju.

O obfitości myśli i o braku stylu. Niektóre właściwości „przeciętnych“ Lwowian. Zapal do publicystyki kojarzy małżeństwo, ale małżeństwo nie przysparza konceptu. Ruch literacki i naukowy. Teatr. „Wojna z kuzynkiem“ p. Urbańskiego i wojna z krytyką. „Żyd“, dramat p. Lubowskiego.

W znakomitej komedii Augiera, „Le fils de Giboyer“, uskarża się deputowany Maréchal, że „ma myśli, ale brak mu stylu“, i z tego powodu przyjmuje nader chętnie propozycję Giboyera, który ofiaruje mu się z napisaniem mowy parlamentarnej. Pan Maréchal widzi się później w skutek tego w stosunku wielkiej zawistości od człowieka, który mu dostarczał stylu do wyrażenia jego wybornych myśli — i ażeby nie stracić tak niezbędnej pomocy, zezwala na zameżcie swojej córki z synem znakomitego stylisty. W tym wypadku, jak widzimy, polityka przychodzi w pomoc miłości — u nas zaś opowiadają zdarzenie, w którym rzecz ma się wprost odwrotnie, t. j. polityka szuka tam stylu i wsparcia u ślepego Kupidyndy, najgorszego dyplomaty pod słońcem. W domu państwa X. rezyduje dobrze zakonserwowany egzemplarz starego nauczyciela, który nie wiem już ile pokoleń przodków i potomków dzisiejszego pana domu wyuczył sztuki czytania i pisanja wraz z temi nielicznymi dodatkami, stanowiącemi u nas podstawę i koniec intelektualnego wykształcenia znacznej części „obywateli“ kraju. Państwo X. mają córek zameżnych, owdowiałych i będących na wydaniu liczbę bardzo znaczną, której jednak nie śmiem bliżej oznaczyć z obawy dopuszczenia się jakiej niedokładności. Najmłodsza, panna Celina, uchodzi w okolicy swojej za piękność pierwszej klasy, a Lwowianie, odwiedzający dom państwa X. upatrują uderzające podobieństwo między nią a pewną młodą i bardzo utalentowaną artystką sceny polskiej we Lwowie. Ponieważ zaś każdy zwykły — czyli, jak powiada pan Starkel, każdy „przeciętny“ Lwowianin musi z urzędu swego przepadać bodaj za jedną artystką, i na każdym przedstawieniu polkiem odwzdychać regularnie trzy godziny, kierując ku pewnej łoży na drugim piętrze badawcze szkła swojej lornetki — (lornetka jest to instrument służący do pielęgnowania platonicznej miłości), ponieważ dalej z tego powodu pewien rodzaj piękności wchodzi łatwo w modę, a jedno serce artystyczne nie może stać się lupem całego parteru i balkonu, więc ci „przeciętni“ Lwowianie, którzy bywali u państwa X. i dostrzegli owego podobieństwa między panną Celiną a artystką będącą w modzie, robili zwykle rodzaj platonicznego pis-aller z tej panny Celiny, i otaczali ją swojemi holdami, tak, jak się admiruje np. portret w nieobecności oryginału.

Opowiedziałem to wszystko, ażeby wytłumaczyć czytelnikom, dlaczego pan Y. „przeciętny“ Lwowianin ze Lwowa, odwiedzający raz pana X. zakochał się od razu w pannie Celinie. Inaczej nie uwierzonoby mi nigdy, najprzód, że w roku zbawienia 1868 mógł się przeciętny Lwowianin zakochać w ogóle, potem że mógł zakochać się w panience, na którą z fortuny rodzicielskiej, po odciągnięciu instytutu kredytowego i innych passywów, przypadła zaledwie część dwunasta, a nakoniec, jak mógł się z nią ożenić. W istocie bowiem całe zdarzenie, które

tu opisuję, miało koniec najtragiczniejszy w świecie — skończyło się małżeństwem. Panna Celina podobieństwem swoim do młodej artystki podbiła serce pana Y. Pan Y. znajdował się w usposobieniu, w którym miłość jego musiała potrwać przynajmniej dwa miesiące, albowiem doznał był nieprzełamanych trudności w zbliżeniu się do panny., otóż nie wymienię ani nawet początkowych liter nazwiska artystki, niech się czytelnicy domyślą i bez tego. — Ztąd pan Y. był bardzo rozdrażnionym, i znalazłszy, jak inni, znośne pis-aller w osobie panny Celiny, zaawanturował się tak mocno, że nim jeszcze miał czas rozpatrzeć ekstrakt tabularny majątku pana X. i zasięgnąć dokładnych informacji co do liczby wyposażonych i niewyposażonych sióstr nowej pani swojego serca, już się między nią a nim rozpoczęła wymiana listów nader czułych i serdecznych. U państwa X. po nadejściu pierwszego listu pana Y. odbyła się formalna rada wojenna, na której uchwalono, że Celinka ma wprowadzić myśli i uczucia, ale znajduje się w tem samym położeniu, co p. Maréchal, t. j. nie ma „stylu“. Powierzono tedy zredagowanie odpowiedzi i w ogóle prowadzenie korespondencji z panem Y. staremu rezydentowi nauczycielowi, o którym już ojciec pana X. mawiał zawsze, że ma „koncept“ tak wyborny, jak ci, co piszą „Rozmaitości“. Celinka odpisywała ten koncept na piękny papier listowy, a pan Y. zdumiewał się nad erudycją i pięknoscią wysłowienia swojej bogdanki tem bardziej, że sam także miał tylko myśli, a nie miał „stylu“ i wyręczał się w trudnych razach stylem pewnego znajomego swego, literata, któremu za to fundował porter albo lody, stosownie do pory roku. Trwała tedy ta korespondencja dosyć długo, czasem pan Y. zaglądał na wieś i przekonywał się, że Celusia ma nietylko styl tak piękny jak ongi „Rozmaitości“, ale i twarzyczkę tak piękną, jak panna ***, nie potrzebując do tego ani bielidla ani rużu. Lecz do stanowczych kroków jakoś nie przychodziło, i pan X. postawił w końcu panu Y. ultimatum, poparte przez panią X. jako mocarstwa współopiekuńcze, żądając kategorycznej deklaracji i grożąc w przeciwnym razie przerwaniem konceptowych i stylistycznych stosunków.

Pan Y. zaczął już namyślać się, rozpytywać się o stosunki majątkowe itd. — słowem, jego miłość narażoną była na formalną kwestję gabinetową, z powodu kwestyi budżetowej, gdy w tem wybuchła we Lwowie pojawiająca się od czasu do czasu straszna epidemia, objawiająca się tem, że każdy „przeciętny“ Lwowianin, tak jak musi kochać się w artystce, tak też musi zakładać jakiś dziennik. Pan Y. był bardzo „przeciętnym“ Lwowianinem, i epidemia nie ominęła go też, ale owszem dotknęła tem silniej, że jak już wyżej powiedziano, miał niejake porterowe i lodowe stosunki z literatami. Pan Y. dostał tedy bzika redaktorskiego i postanowił wydawać dziennik, mniejsza o to jaki. Myśl była, ale brakowało jeszcze — stylu. Literat, redagujący listy pana Y. do Celiny, stawiał żądania niezmiernie wygórowane: 15 złr. w. a. miesięcznie, pomieszkanie, parę butów i podszycie, a oprócz tego 30 złr. antycypacji na dwa miesiące. Wobec tak olbrzymich pretensyi pan Y. był w wielkim ambarasie, czuł w sobie powołanie na redaktora, a nie miał „stylu“ i nie chciał zań tak drogo płacić. Wtem zjawił

się listonosz z listem od Celiny, jak zwykle, pełnym tegiego, „rozmaitościowego“ konceptu. Jenialna myśl błysnęła w umyśle pana Y. Obliczył, że żona mało co więcej kosztować go będzie niż jego przyboczny literat, bo wprawdzie oprócz pomieszkania i 15 złr. miesięcznie, jakoteż trzewików, znajdują się jeszcze inne wydatki, ale natomiast Celina nie pija porteru, ma „styl“ lepszy od literata, i potrafi pisać artykuły wszelkiego rodzaju, a przytem podobną jest jak dwie krople wody do panny ***. Dziennik, tak tanim kosztem redagowany, musiałby mieć niesłychane powodzenie. Ran Y. nie powierzył tedy „stylizowania“ swojej odnośnej myśli znajomemu literatowi, ale dmuchnął na wieś i wrócił ztamtąd dopiero po trzech tygodniach — z żoną. Teraz zgodził już drukarnię, zamówił papier, i niebawem potrzeba będzie zreagować pierwsze ogłoszenie, zapowiadające pojawienie się nowego czasopisma. Wówczas dopiero pan Y. dowie się smutnej prawdy, że oprócz żony powinien był przywieźć ze wsi także starego rezydenta państwa X., bo pani Celina Y. kosztuje go około 150 złr. miesięcznie, chce mieć piękne pomieszkание, drze bardzo wiele trzewików, i choć nie pija porteru, ale za to jada lody i — nie ma „stylu!“ Dziennik zaś musi wychodzić koniecznie — od Nowego Roku bowiem każdy „przeciętny“ Lwowianin będzie miał swój własny organ, a pan Y. musi także mieć swój koniecznie. Na każdy sposób atoli, czy pani Y. ma „styl“ lub nie, każdy wydawca powinien się ożenić, jeżeli jeszcze nie jest żonatym, bo w takim tylko razie może liczyć z pewnością na jedną przynajmniej czytelniczkę, a za kilkanaście lat dochowa się nawet może kilku czytelników.

Zdarzenie powyższe jest zresztą całkiem prawdziwe, a niemniej prawdziwym jest to, że z Nowym Rokiem przybędzie nam mnóstwo nowych dzienników. Książek przybywa nam natomiast bardzo mało. W zeszłym miesiącu pojawiła się nakładem „Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych“ Geografia ogólna ziem polskich p. Lucyana Tatomira, książka zasługująca na jak najusilniejsze polecenie. Nauka dziejów ojczystrych w tych rozmiarach, w jakich ją pobiera zwykle nasza młodzież, nie może się zupełnie obejść bez tego doskonałego podręcznika, dającego bardzo dokładny i jasny obraz wszystkich urządzeń dawnej Polski, a oprócz tego traktowaną jest w dziele p. Tatomira i właściwa jeografia w sposób całkiem odpowiedni. Wyszedł także Życiorys Józefa Korzeniowskiego, przez K. Widmana, jako przedruk z Dziennika Literackiego. Praca ta co do części ściśle biograficznej zawiera pewne niedokładności, o których wspominał Bolesławita w fejtynie Dziennika Poznańskiego. Żałujemy, że pisarz ten tak dokładnie obznajomiony z szczegółami, tyzącami się życia śp. Korzeniowskiego, nie udzielił p. Widmanowi swoich uwag przed wydrukowaniem pomienionej książki. Co się tyczy części krytycznej w dziele p. Widmana, wstrzymujemy się od wszelkich nad nią uwag, bo krótką wzmiankę wziętoby nam za złe, i nie bez szluszności, a na obszerny rozbiór nie mamy w tej kronice dostatecznego miejsca.

Ruch naukowy we Lwowie obiecuje wkrótce wstąpić na koniec w pewne stadyum rozwoju. Wydział Towarzystwa naukowo-literackiego zamierza urządzać wykłady naukowe, udając się do pierwszych znakomitości naszych w Krakowie, Poznaniu

i Warszawie z prośbą o wzięcie udziału. Gdyby te chwalebne zamiary uwieńczone były pożądanym skutkiem, korzyść wynikłaby z nich znaczna. Dowiadujemy się, że między innymi przyrzekli przybyć do Lwowa dr. Libelt i dr. Nowicki, który będzie wykladał o najnowszym postępie badań zoologicznych. Mamy nadzieję, że J. I. Kraszewski, którego wykłady o Dancie znalazły tak żywy udział przeszłego roku, nie odmówi także swego udziału.

Nader pięknie rozwinął się pomysł, powzięty i wykonany przez Tow. pedag. we Lwowie, a usilnie popierany przez p. J. Dobrzańskiego, utworzenia wyższego kursu naukowego dla kobiet. Wykłady odbywają się bardzo regularnie i obudzają zajęcie pięknych i młodych słuchaczek, których uczęszcza tam około dwieście. Nasze panie i panny skompromitowały niezmiernie fejtynistę Gazety Narodowej, który coś niby powątpiewał o ich zamilowaniu w zajęciach umysłowych i anticipando uciął siarczystą filipikę przeciw naszej płci pięknej, przeciw złej i dobrej francużeczynie i przeciw wyłącznie na tem opartej edukacji naszych kobiet. Teraz spostrzegł się, że z tej strony nie znajdzie wiele sposobności do złośliwych wycieczek, udaje więc, że był zawsze grzecznym i już tylko chwali. Ale nie wiercie mu i nie przebacze nigdy, moje piękne panie; ci fejtyniści, to szkaradne stworzenia, je m'y connais, ma foi!

Teatr nasz obdarza nas co chwila jakąś nowością, to oryginalną, to tłumaczoną. Przedstawiono Starych kawalerów p. Sardou. Słynny ten utwór z przyczyn od dyrekcji najzupełniej niezawisłych dopiero teraz mógł pojawić się na naszej scenie. Na benefis pana Szymańskiego dano komedję W szale młodości, z repertoaru paryżkiego teatru Gymnase. Interesująca i pełna życia, jak zwykle sztuki francuskie, przedstawia nam ona sceny, bardzo rzadko dające się napotkać w naszym społeczeństwie, i dlatego mniej zapewne przypada do smaku naszej publiczności. Z oryginalnych utworów widzieliśmy Wojnę z kuzynkiem, krotoczwilę p. Urbańskiego, która wpłatała autora w wojnę z krytykami. Nieznośni ci ludzie sami już nie wiedzą, czego mają wymagać od komedjopisarza; chcą nowości pomysłu, dowcipu, prawdy psychologicznej i mnóstwa innych rzeczy, jak gdyby to wszystko rosło sobie ot tak jak pieczarki na bruku lwowskim.

Konkurs, rozpisany we Lwowie przeszłego roku na utwory dramatyczne, został rozstrzygnięty. Przyznano nagrodę dramatowi p. Lubowskiego p. t. Żyd, który następnie przedstawiony był na scenie tutejszej i wywołał mnóstwo nieprzychylnych krytyk. Zdania publiczności były bardzo podzielone, ale sala była pełną, słuchano z największym zajęciem, a na końcu wołano autora, który atoli nie był naówczas we Lwowie. P. Lubowski obrał przedmiot nader drażliwy; przedstawił on antagonizm, w jakim znajduje się duch fanatycznego judaizmu z duchem naszego chrześcijańskiego społeczeństwa — a nie dał sposobu lub nadziei pogodzenia tych sprzeczności. Miał tedy Żyd przeciw sobie zwolenników i nieprzyjaciół „emancypacji“ żydów, a naturalnie także i autorów wszystkich tych komedji, dramatów i tragedji, które nie zostały uwieńczone nagrodą, wraz z przyjaciółmi tych autorów itd. Jednem słowem, Lwów, który nieraz widział na scenie nierównie słabsze utwory, nagle stał się wymagającym, surowym sędzią, a autorowie, współza-

wodniczący z p. Lubowskim mszczą się teraz na Żydzie i na komitecie konkursowym za swoją klęskę. Na przyszłość odejdzie nie jednemu ochota od współzawodniczenia, ale radziibyśmy, aby nie odeszła panu Lubowskiemu. Dramat jego nie jest doskonałym, ale ma wielkie zalety i świadczy o niepospolitym talencie.

Ze świata.

(Historyczny brylant.) Klejnoty jubilera koronnego Babsta, które podziwiano na ostatniej wystawie paryskiej, reprezentowały okrągłą sumkę 30 milionów! Obok rozmaitych dyademów, naszyjników i broszek, wszystko osadzone lśnięciami brylantami, perłami i drogiemi kamieniami, wartości od 10 tysięcy do miliona franków, zawierała szkatuła jego także klejnot historyczny, sławny brylant „Sancy“, który zdobył Karola Śmiałego w bitwie pod Nancy. Od tego czasu upłynęło już bardzo wiele wody, i „Sancy“ gdyby mógł mówić tak jasno i pięknie, jak połyskuje w świadomości swoich pięćdziesięciu trzech i pół karatów, opowiedziałby niejedno o tych, którzy go potem posiadali. Odbyszał on ciągłą wędrówkę z rąk do rąk. Jego posiadacze bywali po największej części nieszczęśliwi, i nieraz już przechodził on z pałaców królewskich do sklepów jubilerskich. Z Francji dostał się do Anglii, z Anglii do Belgii, a zamtąd w r. 1830 do Petersburga jako własność księcia Demidowa. Z tych rąk rosyjskich przeszedł w drodze kupna napowrót do Anglii, a zamtąd wywieziono go do Indji. Bombaj był ostatnią stacją jego długich wędrówek, i zamtąd sprowadzono go na wystawę do Paryża. Książę Demidow zapłacił w swoim czasie 1,500.000 franków za ten kamień w Brukseli, dziś możnaby go nabyć za milion, a przecież nie może on znaleźć kupca. Już dawniej próbowano go sprzedać na wszystkich dworach europejskich, ale napróżno. Gdy tedy nadeszła wystawa paryska, sądzono, że tułaczy brylant znajdzie na niej szczęście i spocznie nareszcie po tyloletniej wędrówce. Pokładano największe nadzieje na monarchach, którzy w ciągu wystawy odwiedzali Paryż, ale wszystkie te nadzieje zawiodły. Przybywali jeden za drugim, wielcy i mali mocarze, stawali przed skarbcem pana Babsta i podziwiali ów sławny brylant, ale żaden z nich nie chciał go nabyć i nie nabył.

(Cudotwórczy zuaw i nowa wróżka.) Mimo olbrzymie bez zaprzeczenia postępy cywilizacji w naszym wieku nie straciła szarlataneria dotąd kredytu na świecie, i zapewne nie prędko go utraci.

Przed rokiem jeszcze pisały dzienniki francuskie bardzo wiele o cudotwórczym zuawie Jakubie, który codziennie przyjeżdżał z Wersalu do Paryża i samem dotknięciem rąk swoich leczył kaleki, podagrystów i chorych wszelkiego rodzaju. Wystąpienie jego sprawiło ogromne wrażenie nie tylko we Francji, ale w całej niemal Europie; ze wszystkich prowincyj, ze wszystkich krajów spieszyli chorzy, oblegali dom jego, porzucali swoje kule ujrzawszy go, i nikt nie śmiał wątpić o cudownej władzy jego, gdyż wobec zarzutów przeciwników odzywały się ciągle nowe głosy, które powołując się na własne doświadczenie opowiadały niestworzone rzeczy o jego kuracjach.

Paroxyzm ten przeminął po kilku miesiącach. Jakub

brany był pod śledztwo, opuścił potem swój pułk, i przestano mówić o nim. Od tego czasu upłynął rok z górą, i nikt już nie wspominał o Jakobie; ale zapewne nie stracili go z oczu ci, którzy potrzebowali pomocy. I oto czarodziejski trębacz od zuawów, Jakub, wystąpił znowu na scenę. Wolny od uciążliwej służby wojskowej, i nie potrzebując już dzielić czasu swego między trąbkę i działanie cudów, poświęcił się teraz całkiem swej nadnaturalnej czynności i osiadł pod samym Paryżem, w Passy, gdzie drzwi jego od 9. godziny zrana aż do późnego wieczora bywają oblegane. Cudotwórca o tyle jest przezornym, iż od pacyentów swoich nie żąda pieniędzy, by nie popaść na nowo w kolizję z władzami; ale zato na obstawionym ławkami dziedzińcu, gdzie zbierają się chorzy po otwarciu bramy zbawienia, sprzedaje jego siostrzenica, dziewczyna dwudziestocze-roletnia, dwa fotograficzne wizerunki Jakuba, z których jeden przedstawia go w kostiumie zuawa, a drugi w skromnym ubiorze cywilnym. Każdy z tych portretów kosztuje 1 franka.

Jakub sam przyjmuje dopiero o godzinie 3. po południu. Od tego czasu wpuszczają chorych, zawsze po trzydziestu osób na raz, do czarno pomalowanego pokoju o spuszczonych stó-rach, i tam dotykając się tych nieszczęśliwych każe im Jakub porzucać swoje kule. Jeżeli mówią, że nie mogą iść bez kul, odpowiada z fukiem: „Milcz! Jutro będziesz mógł chodzić!“ Po dwudziestu minutach wchodzi nowy oddział chorych, i tak idzie dzień po dniu.

Mówią, że niema on najmniejszego wyobrażenia o terapii, ale mimo to garnie się cały świat do niego, i urok jego świę-tości nie pełnie, chociaż nikt nie opowiada już, że go uleczył. Pan Jakub robi przy tem doskonały interes i oblicza swój do-chód ze sprzedaży swoich fotografii na 50.000 franków rocznie! Któż może go potępiać, kiedy świat sam chce, ażeby go oszu-kiwał!

Obok tego cudotwórcy występuje także w Paryżu od ja-kiegoś czasu nowa wróżka, która chce zaćmić sławę kabalarki Lenormand. Jestto panna Albertyna, wykonująca swoje czarne sztuki przy ulicy Chaptal pod Nr. 19. Gdy niedawno książę Beauveau zastrzelił się na bulwarach przegrawszy kilka milio-nów w swoim klubie, opowiadano, że Albertyna ostrzegła go przed kilkoma dniami, ażeby unikał broni palnej. Odtąd spieszą do niej tłumy ciekawych, ażeby dowiedzieć się o swoim losie.

Głupców nie braknie nigdy na świecie!

(Gusła, czary i wróżby), oczywiście zabytki z czasów pogańskich, przechowują się ciągle jeszcze, mimo całej potęgi dzisiejszej cywilizacji, u wszystkich prawie, a najbardziej u sławiańskich ludów. Potrzeba tylko przypatrzeć się nieco bliżej życiu i zwyczajom ludu naszego na Rusi, w Polsce lub na Litwie, ażeby się przekonać o tem. Wprawdzie guślarze i czarownice żyją już dziś tylko w tradycji; zabobonność pogań-ska powlekła się po największej części pokostem wiary chrze-ścijańskiej, ale mimo to można we wszystkich prawie obrzędach, zabawach, a nawet w różnych czynnościach domowych i gospo-darskich ludu wiejskiego domacać się na dnie jakiegoś mytu pogańskiego; z którego dziecinna fantazyja ludu zawsze jeszcze mimo wiedzy wysnuwa swoje przesady i zabobony. I to też jest główną cechą sławiańskiej poezyi ludowej. Ale najbardziej objawia się ta zabobonność w rozlicznych, praktykowanych po

dziśdzień rodzajach wieszczbiarstwa, za pomocą których szczególnie młodzież wiejska usiłuje zbadać tajemnicę swojej przyszłości. Jeden z pisarzy warszawskich śp. Mściław Kamiński, napisał bardzo zajmującą rozprawę, w której wylicza wszystkie rodzaje takich wróżb miłosnych, i z tej to rozprawy pozwalamy sobie przytoczyć jeden z najciekawszych ustępów o wróżeniu ze snów.

„Sny — powiada autor wspomnianej rozprawy — grają niezmiernie ważną rolę w wieszczbiarstwie krajowem, a mówiąc to bynajmniej nie mamy na względzie ciemnych i zawitych wykładów snów, któremi raczą się najpoważniej zajmować przemądre „Morfeusze“, „Wykłady“, „Senniki“ i t. d. Sny, o których mówić zamierzamy, dotyczą tylko miłości, lub jeżeli chcecie, matrymonialnych stosunków. Przez nie to wiejskie dziewczę pragnę podnieść tajemniczą oponę przyszłości, pragnę się dowiedzieć, czy ich wieniec dziewiczy zgoreje na ołtarzu Hymenu, czyli też uschnie w jałowym staropanieństwie. Już łatwowierny Duńczewski wspomina, że w wigilię świętego Jędrzeja panny pilnie zważają, co się im przyśni. Nietylko wszakże obserwowano sny, ale starano się je sztucznie wywołać. A sposoby ku temu były o ile rozmaite, o tyle dziwne. Za dawnych na przykład czasów, owe skromne nasze prababki, w ferworze widoków matrymonialnych, w wigilię świętego Andrzeja podkładały pod poduszkę cegłę lub kamień, owinięty w pewną część ubioru męskiego, o której zamilczeć wolę. W obec tak naiwnego przełamania praw przyzwoitości, nie zdziwim się bynajmniej czytając w Gołębiowskim, że kawalerowie toż samo czynili z pończoszками i spodniczkami panień-

REBUS.



Znaczenie rebusu w I. zeszycie: „Lepszy wróbel w garści, niż kanarek w powietrzu“.

skiem. Czyniono zaś to w mniemaniu, że tym sposobem przyśni się im postać przyszłej lub przeszłego. W górach Karpackich i u Słowaków węgierskich, Święty Tomasz do wróżby jest przeznaczony. Dziewczęta cały dzień poszczą, nosząc jabłko w zanadru na nagiem ciele, a gdy na wieczorne modlitwy usłyszą dzwon kościelny, przekrawują jabłko na kolanie na dwie części i jedzą, a kamień włożywszy pod poduszkę ani wątpią, że małżonek się przyśni. Kładąc się stają na łóżku i odmawiają następną formułę:

„Pościel, pościel, tłoczę cię,
Święty Tomaszu proszę cię,
Daj mi poznać

Z kim ja tej nocy przy ołtarzu będę stać“.

Na Białej Rusi w wigilię świętego Jana dziewczęta zbierają wasilki, bratki i t. d. aż do dwunastu gatunków, poczem udają się na rozstajne drogi, gdzie odmówiwszy Anielskie Pozdrowienie, nie rozmawiając z nikim idą spać, pewne że się przyśni przyszły małżonek. W tychże samych okolicach dziewczęta na Ś. Jana idą na rozstajne drogi, wiążą pęczek różg, wyciągają zeń po parze, mówiąc: „niedziela z poniedziałkiem, wtorek ze środą i t. d.“ nareszcie doszedłszy do soboty mówią: „sobota jedna i ja jedna“. To uczyniwszy idą spać, a we śnie spodziewają się otrzymać pożądaną wiadomość. Na Ukrainie w wigilię świętego Andrzeja dziewczęta pieką sobie placuszki, mieszając na to ciasto z łyżki pszennej mąki, łyżki soli i łyżki wody, — a wypościwszy się dzień cały zjadają na noc. W nocy przyśni się przyszły małżonek podający wodę. Na Litwie jedzą w tym celu śledzia, w Grecji słone ciastka, a w Moskwie sól. Na Litwie na Nowy Rok kobiety niezamężne i mężatki biorą od mężczyzn rozmaite rzeczy, i kładą takowe pod poduszki; przyśnienie się takowych jest najlepszą wróżbą. Pomiędzy szlachciankami bardzo był upowszechniony przed kilku jeszcze laty zwyczaj stawiania na noc pod łóżkiem mostków z łuczywek; spodziewały się bowiem ujrzeć przez sen przechodzącego po tym mostku przyszłego swego męża. Tenże sam zwyczaj znany był i w innych sławiańskich krajach. W Rossji w wigilię Nowego Roku kładziono pod poduszkę grzebienie, w mniemaniu, że przyszły małżonek czesać się nim będzie we śnie.

SZARADA.

Pierwsze z wiosną woda niesie;
Drugiej pełno wśród fasoli;
A całością mędrzec zwie się,
Co wnet strzyże a wnet goli.
Takich mędrców znajdziesz wszędzie,
Znakomitych w każdym względzie;
Ale to się wiedzieć godzi,
Że najwięcej Lwów ich rodzi

Znaczenie szarady w I. zeszycie: „Saragossa“.

Pocztą «Strzechy».

Panu A. W. w Wrocławiu: Rzeczy ściśle naukowe nie wchodzą w program naszego pisma. — Pani M. w Lubelskiem: Przysłana nam powiastka zanadto jest słaba, ale widoczny w niej talent dozwala nam spodziewać się lepszej. — Panu J. G. w Krakowie: Artykułów tłumaczonych nie umieszczają Strzechy. — Panu K. R. w Poznaniu: Utwory dramatyczne przyjmujemy, ale tylko pisane wierszem i niedługo. — Panu E. G. w Belzie: Przysłane rękopisma odebraliśmy i odpowiemy listownie.